Nr. 49. Lwów, Niedziela dnia 4. Sierpnia 1878 r. Tom VII.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

Spółki rolnicze.

Obywatele powiatu lwowskiego, zapatrzywszy się na podolskich sąsiadów swoich, zdecydowali utworzyć spółkę rolniczą jako Towarzystwo z nieograniczoną poręką we Lwowie. Celem tej spółki ma być, podobnie jak prosperującej już dość pomyślnie tarnopolskiej, ułatwienie obywatelom ziemskim sprzedaży swych produktów głównie na rynkach zagranicznych i przychodzenie im z pomocą sposobem zaliczki na dostawiony lub dostawić się mający towar.

Potrzeba tego rodzaju instytucyi w kraju naszym, i wogóle w krajach polskich, od dawna już była uznaną, skoro w Kongresówce jeszcze przed r. 1863 prawie we wszystkich guberniach powstały tak zwane domy rolników, które z rozmaitem szczęściem króciej lub dłużej prosperowały, lecz ostatecznie skończyły swój żywot w niezbyt pomyślnych dla akcyonaryuszów stosunkach.

Po zniknięciu tych domów, powstały inne już z bardziej ścieśnionym programem w formie domów handlowych lub banków prywatnych, których działalność w Poznańskiem, jak Kwilecki, Potocki i spółka, we Lwowie pod firmą galicyjskiego banku krajowego, w Krakowie jako bank galicyjski dla handlu i przemysłu jeszcze nam jest świeżą w pamięci, a nawet co do ostatniego w Krakowie, działalność jego mamy przed oczyma.

Ostatniem na tej drodze usiłowaniem, jest spółka tarnopolska i ta jak zapewniają jej sprawozdania, cieszy się zupełnem zaufaniem członków, dając bardzo pomyślne rezultaty swej działalności.

Nie mając pretensyi instruowania przyszłej spółki rolniczej we Lwowie co i jak ma działać, aby stać się mogła użyteczną dla całej okolicy, a głównie aby potrafiła ukrócić nadużycia handlarzy produktami, na łasce których zostają dziś wszyscy producenci zbożowi — chcemy zwrócić uwagę przyszłych założycieli na tę główną okoliczność, że cały sekret powodzenia takiego domu komisowego, zależy od kierującego nim zarządu. Wszystkie dotychczas robione próby w tym kierunku tak w Królestwie, w Poznańskiem jako też i w Galicyi jeżeli się nie powiodły, to przyczyna niepowodzenia tego leżała głównie w braku fachowej znajomości przedmiotu zarządzających.

U nas w Polsce, od dawna wyrobiło się to przekonanie, że święci garnków nie lepią, a zatem opierając się na tem przysłowiu, lubimy porywać się zawsze do rzeczy przechodzących zwyczajnie jeżeli już nie nasze siły i chęci, to nasze wiadomości, naszą rutynę fachową i nasz że tak powiem charakter obywatelski.

Każde specyalne zajęcie, a nawet to okrzyczane nadzwyczaj łatwe gospodarowanie na wsi, wymaga prócz ogólnych zdolności ludzkich, jeszcze znajomości wszystkich najdrobniejszych szczegółów przedmiotu, a wreszcie co najważniejsza, wprawy i przyswojenia sobie tego zajęcia przez długoletnią i do pewnego kierunku nastrojoną praktykę.

Otóż przyznać sobie musimy, że ten ostatni warunek fachowości był zawsze u nas lekceważonym. Każdemu zdolniejszemu człowiekowi zdaje się, i on w to wierzy, iż poświęciwszy nieco pracy i zachodów, jest wstanie podjąć się przodownictwa w instytucyi, która mniej potrzebuje rzemieślniczej niejako wprawy, ale więcej dobrej woli i ogólnego wykształcenia. Tymczasem w skutkach okazuje się przeciwnie: to co zdawało się wymagać tylko zdrowego rozumu i pilności, mimo jednego i drugiej kuleje wobec konkurencyi świadomej wszelkich drobnych na pozór, a w rzeczywistości ważnych szczegółów fachowych. Gdy tego rodzaju samozwańcze indywiduum przystępując do działa z najlepszemi intencyami, rozpatrzy się bliżej w tych sprawach i dojrzy usterki lub przeszkody, którym dla braku odpowiedniej znajomości rutyny handlowej zapobiedz nie potrafi, albo poczuje swoje niedouctwo i starać się będzie douczyć tego czego mu nie dostaje, albo zniechęca się, rozczarowuje składając winę czy to na czas, czy na okoliczności, czy wreszcie na poboczne intrygi konkurentów, wspólników i kogo bądź, aby tylko nie na siebie.

Taki tryb postępowania, przynajmniej u nas w Galicyi, jest źródłem jak z jednej strony ciągłych niepowodzeń, tak z drugiej strony nieustannych narzekań na wszystko i wszystkich, począwszy od rządu a skończywszy na żydach i rozpróżniaczonych włościanach naszych.. U nas, powiadają, nic nie można zrobić, bo wszystkich warunków do robienia czego bądź niedostaje. Mamy ducha inicyatywy, mamy ogromną chęć do pracy, czujemy potrzebę tej pracy — tylko brakuje materyałów, które muszą być ciałem dla obleczenia w pewną formę tego krytycznego i pomysłowego ducha naszego.

Podobny ton narzekań na wszystko, bardzo podobny do owego fartuszka złej tanecznicy, odbija się tak w prywatnem jak i urzędowem życiu naszem, panuje w całej prasie galicyjskiej, która wszystkie winy popełnione od lat stu i więcej, kładzie zawsze na karb kogoś trzeciego, na przemoc, na przeznaczenia i t. p. okoliczności — byle nie na siebie...

W ostatnich czasach, dzięki Bogu, to nieustanne rzucanie się nasze w różne strony, zaczyna powoli przychodzić do równowagi... Sparzony na gorącem, dmucha na zimne, i my pozwalamy sobie teraz przypatrywać się uważniej i gorącemu i zimnemu. Dlatego witając z szacunkiem zamiary utworzenia spółki rolniczej we Lwowie, pozwoliliśmy sobie tego małego kazania w nadziei, że panowie zakładający tę instytucyę, jeżeli mają zrobić krok stanowczy, to niech go zrobią obliczywszy sumiennie tak intelektualne, jako też materyalne i terenowe siły, aby nie zrobić fiasca, któreby szkodliwie oddziałać mogło na przyszłą odwagę narodową w jakichbądź przedsięwzięciach.

A propo owych sił terenowych, poważymy się tutaj rzucić kilka uwag dotyczących tak miejscowości, w której się współka zakłada, jako też i czasu, w której to założenie następuje.

Że tarnopolska instytucya prosperuje korzystnie, w tem bez zaprzeczenia leży najprzód zasługa jej kierowników, a powtóre odpowiednio dobrany punkt dla handlu produktami, jakim bez zaprzeczenia jest Tarnopol. Miejscowość ta leżąc w okolicy najurodzajniejszej w Galicyi,

jeszcze jest targowicą dla zbytu zboża rosyjskiego, które na wozach dostarczają okolice Husiatyna, ztąd też Tarnopol ma zawsze ożywiony ruch handlowy i ma kupców szukających tu zboża podolskiego. — Czy Lwów posiada też same warunki zbytu dla zagranicy, czy okolica jego przedstawia takie zasoby surowych produktów do zbycia jak Tarnopol? — niech zastanowią się nad tem panowie założyciele. Lwów jako punkt zbytu na miejscowe potrzeby jest dość ożywionym rynkiem handlowym, lecz tu potrzeba brać w rachubę konkurencyę prywatnych handlarzy, którzy tę operacyę zbytu konsumentom daleko taniej i łatwiej od jakiejbądź instytucyi urządzić potrafią. Nie należy się łudzić! Taka współka obywatelska zaraz na pierwszym wstępie spotkać się musi z wielką niechęcią i silną bardzo konkurencyą prywatnych handlarzy produktami, handlarzy uzbrojonych w długoletnią i prawie wrodzoną rutynę handlową, w środki materyalne, w łatwy i tańszy kredyt, a co najważniejsza w oszczędną i niezmordowaną czynność manipulacyjną. — Nie wiedząc jakimi środkami i jakim materyałem rozporządzać może, nowa spółka powinna być nader ostrożną przy pierwszych krokach swej działalności, mieć sto oczów i sto uszów na wszystkie strony, aby się nie dać podejść mistrzowskim zasadzkom prywatnej konkurencyi.

Zamierzona spółka, powiedzieliśmy tu otwarcie, jak dla Lwowa na teraz jest nieco przedwczesną, zważywszy, że Lwów dziś nie jest punktem zbytu produktów na wywóz zagraniczny, że nie ma odpowiednich magazynów, i nie ma przywilejów taryfowych, jakie mają np. Podwołoczyska. Lecz ze względu na niedaleką przyszłość połączenia kolei czerniowieckiej z nadwiślańską, już dziś dadzą się usprawiedliwić przedwstępne kroki obywatelstwa naszego, które powinno być nadzwyczaj czujne na tego rodzaju ewentualność handlową dla Lwowa — o czem już specyalną dyskusyą zastrzegamy sobie do następnego numeru.

ZA WINY NIEPOPEŁNIONE.

POWIEŚĆ

przez

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Panna Zenobia zaczęła jej wyliczać na palcach wszystkie wymagania i przepisy katechizmowe. Amelii wydawały się one nudne i oschłe, ale słuchała z uwagą i postanowiła sobie poddać się tym wszystkim formalnościom, aby jak najprędzej wyznawać tę wiarę, którą on wyznawał. Wszak tą wiarą miała pozyskać sobie jego miłość, jeżeli nie tu, to tam w wieczności. Gotowa była prowadzić życie w pokucie i cierpieniach, byle tem zdobyła sobie jego. Miłość więc gotowa była ją doprowadzić do ascetyzmu. Jedna okoliczność wpłynęła jeszcze więcej na pomnożenie tej gorliwości religijnej i pomogła nadzwyczaj pannie Zenobii do nawrócenia jej na łono katolickiego kościoła.

Pewnego bowiem dnia Leszczycowa zdziwiona długą nieobecnością Amelii, idąc z mężem na spacer wstąpiła do niej dowiedzieć się, co za powód był tego. Bała się, czy przypadkiem nie była słabą; a widząc, że jest zdrową namówiła ją, aby się z nimi przeszła.

— Siedzisz w domu ciągle, to ci szkodzi; pomizerniałaś nawet trochę — rzekła przypatrzywszy się bliżej żydówce. — Chodź przejdziesz się z nami, zaraz ci się lepiej zrobi. kwiaty i ludzie potrzebują słońca, powietrza.

Amelia nie dała sobie dwa razy powtarzać zaproszenia; ubierała się prędko, a serduszko jej biło mocno, bo słyszała wyraźnie, jak Leszczycowa mówiła: przejdziesz się *z nami.* Ten wyraz „z nami“ dzwonił jej ciągle w uszach, pukał w sercu. Ani wątpiła, że Jan czeka przed domem. To też zadziwiła się smutnie, że znalazła tylko samego Leszczyca bez syna. Przyszło jej zaraz na myśl, że może umyślnie unikał jej i dlatego nie odważyła się pytać o niego.

Poszli za miasto ku lesistej górze, co się wznosiła od południowej strony miasta; w tę stronę teraz kierowały się spacery staruszków, gdyż od owego spotkania się z żydem na cmentarzu, Leszczyc omijał te miejsca, prawdopodobnie z obawy, aby więcej nie spotkać się z nim. Szli tedy drogą ku lasowi, rozmawiając. Rozmowa jednak nie kleiła się jakoś; wszyscy usposobieni byli więcej do milczenia. Naraz Leszczycowa przystanęła i patrząc na Amelią z uśmiechniętą twarzą spytała:

— Cóż? nie pytasz się wcale o Jana?

Amelia pokraśniała cała, w oczach jej się zaćmiło i udając zdziwienie odezwała się nie patrząc na Leszczycową:

— A, prawda, dlaczegoż pan Jan nie poszedł z nami?

— Bo wyjechał.

— Do Wiednia? — podchwyciła żywo Amelia.

— Nie, do Lwowa — odrzekła spokojnie Leszczycowa. — Po cóżby do Wiednia? Czy ci co mówił o tem?

— Nie, tak przypuszczałam — odrzekła zawstydzona.

— Wyjechał do Lwowa — ciągnęła matka — już dwa dni temu. Wezwano go telegrafem na zjazd właścicieli kopalni naftowych. Może dostanie jaką posadę. Odjeżdżając kazał cię pozdrowić. Żałował, że nie mógł widzieć się z tobą przed wyjazdem.

Jak powiew świeżego wiatru w dzień upalny i duszący, takie wrażenie te słowa zrobiły na Amelii. W piersi zrobiło jej się nagle przestronno, swobodnie, bo wszystkie przykre myśli, co od kilku dni przygniatały ją, rozwiały się, i jasny promień nadziei ożywił ją. Sama nie mogła sobie zdać dokładnie sprawy, co ją tak ucieszyło, boć przecie to, że pojechał do Lwowa, a nie do Wiednia, nie usuwało jeszcze domysłów, że kocha ową piękną pannę, której fotografię mu przysłano; a jednak rada była, że pojechał do Lwowa, a nie do Wiednia. A przytem odjeżdżając myślał, a przynajmniej mówił o niej i żałował, że nie mógł się z nią widzieć. Przypuszczała, że może miał jej coś powiedzieć i zapewne nic takiego coby ją zasmucić mogło, bo w takim razie, nie byłby przecież żałował tego, że jej nie mógł zasmucić. Radosne jakieś przeczucia budziły się w niej, czuła dziwną błogość w piersiach, świat wydawał jej się piękniejszy, ludzie lepsi. Stan ten wpłynął jeszcze bardziej na podniesienie jej uczuć religijnych. Upatrywała jakiś mistyczny związek między swojem nawróceniem a tą niespodziewaną pociechą, jakiej doznała teraz i przypisywała to cudownemu zrządzeniu tego Boga miłości, którego wyznawczynią być chciała. Prosiła nawet panny Zenobii, czyby nie można przyspieszyć chrztu; radaby była, żeby Jan za powrotem zastał ją już chrześcianką. Ale panna Zenobia ułożyła sobie już z góry, że chrzest odbędzie się podczas missyi; miał to być niby skutek owej missyi i jak wiemy chciała faktowi temu nadać ile możności najpiękniejszy rozgłos. Życzyła sobie także, aby neofitka była jeszcze ostatecznie przygotowaną do chrztu przez prowincyała zakonu O. O. Jezuitów, ks. Bonawenturę. W pokorze chrześciańskiej chciała jemu oddać chwałę tego nawrócenia niewiernej.

Amelia poddała się woli swojej nauczycielki, a tymczasem wbijała sobie w pamięć wszystkie tajemnice wiary i reguły katechizmowe, jak również czytała pilnie żywoty świętych i inne książki nabożne, których jej panna Zenobia ze swojej obfitej biblioteki dostarczała. Czasami odwiedzała Leszczycową, by odetchnąć trochę po tych męczących ćwiczeniach religijnych i zaczerpnąć nadziei. Było jej tam jakoś lepiej, słoneczniej, cieplej.

Jednego dnia, kiedy tam przyszła Leszczycowa witając ją przyjaźnym uśmiechem, pogroziła jej palcem i rzekła:

— Poczekaj, dam ja ci. Zbałamuciłaś mi chłopca, a ja nic o tem nie wiem.

Amelia ze zdziwieniem spojrzała na nią.

— Tak, tak, udawaj niewiniątko. Zdawałoby się że trzech zliczyć nie umie. I tamten także taki sensat, taki poważny i mnie starą wyprowadzili w pole. Masz, czytaj.

I podała jej list. Był to list od Jana ze Lwowa. Spowiadał się w nim matce z burz i niepokojów miłośnych, jakie w sercu jego wznieciła Julia, z przemiany, jaka odbyła się w nim od czasu, jak usunął się od wpływu tej niebezpiecznej kokietki i jak poznał Amelią.

„W twojem i jej towarzystwie — pisał dalej — duch mój przyszedł do równowagi i spokoju, w czystej atmosferze waszych poczciwych serc orzeźwiłem się i wytrzeźwiałem z gorączkowych upojeń. Ale nie przypuszczałem, że lekarstwo, którego używałem na moją chorobę, stanie się potrzebą mego życia, że przyzwyczajając się do towarzystwa twego i jej, nie będę umiał potem obyć się bez niego. Dopiero gdy was straciłem z oczów, uczułem, jak bardzo jesteście mi potrzebnemi obie. Tęsknota moja z każdym dniem rośnie i niecierpliwie liczę chwile, kiedy będę mógł wrócić do was. Nie jest to jakiś chwilowy szał, gwałtowna namiętność, nie matko — to ciche, spokojne pragnienie szczęścia, to miłość, ale oparta na szacunku i głębokiej wierze w zacność osoby, którą wybrało serce moje. O ile wnosić mogę z niektórych spostrzeżeń, miłość moja nie jest bez wzajemności. Ale może się mylę, może to tylko siostrzane przywiązanie, które zarozumiałość moja wzięła za objaw innego, silniejszego uczucia. Wybadaj matko jej serce, ona kocha cię jak córka, tajemnic przed tobą mieć nie będzie i donieś mi, czym się nie pomylił wierząc, że to serce do mnie należy.“

Dalej pisał jeszcze o kilku miejscach, które mu proponowano, na co jeszcze nie dał stanowczej odpowiedzi, bo chciałby pierwej z rodzicami naradzić się względem tego.

„I Amelia należeć będzie do tej rady ła-

milijnej, bo dziś przyszłość moja do was trojga należy i wspólnie ze mną rozporządzać nią będziecie. Nie pojmuję życia, szczęścia bez was."

Trudno by było opisać, co cię działo z Amelią podczas czytania tego listu. Że twarz jej płonęła, oczy błyskały jakimś dyamentowym blaskiem, że była cała drżąca, wzruszona, to jeszcze było niczem w porównaniu z tem co się w niej działo. Dusza jej doznawała wrażenia wniebowzięcia, nieopisanego zachwytu, szczęście oślepiło ją i odurzyło.

— No i cóż ty na to? — spytała Leszczycowa. — Czy pomylił się Jan?

Amelia zamiast odpowiedzi rzuciła się jej na piersi i zaczęła z radości płakać tak mocno, takim spazmatycznym płaczem, że Leszczycowa długo ukoić ją nie mogła, choć próbowała ją uspokoić to pocałunkami i pieszczotami, to żartami a nawet groźbą.

Potrzebowała wypłakać się; płacz ten jak wiosenny deszcz oczyścił jej duszę ze smutnych i przykrych myśli, które ją przypruszyły w chwilach zwątpienia, orzeźwił ją i była w istocie podobna do kwiatu po deszczu, kiedy przez nieoschłe jeszcze łzy uśmiechnęła się do żartującej sobie z niej Leszczycowej. Przyszedłszy nieco do równowagi i spokoju poprosiła jej, by pozwoliła raz jeszcze odczytać list Jana.

— A czytaj, czytaj, bo to on własciwie cały do ciebie się odnosi, choć niby do mnie pisany. Jak on to figlarz zręcznie mi pochlebia, żeby mieć we mnie dobrego adwokata, nie chcąc żebym była o ciebie zazdrosną, ciągle nas obie łączy niby razem, gdy mówi o tej swojej miłości.

— O, nie mów tak pani, bo on i ciebie kocha bardzo.

— No, no, nie bój się, nie pogniewam się o to na niego. Będziemy jakoś radzić, żeby bez szkody podzielić się jego sercem.

W dalszym ciągu rozmowy, Amelia przyznała się przed Leszczycową ze swoich sekretnych przygotowań do chrztu. Zdziwiło ją, że Leszczycowa nic o tem nie wiedziała.

— Teraz kiedy już nie potrzebuję z tego robić sekretu przed panią....

— Przed jaką panią, nazywaj mnie odtąd matką.

— O mateczko moja droga — zawołała z radością Amelia i rzuciła się jej do nóg — więc pozwalasz tak się nazywać?

— Widzisz, że skorzystałam na tej miłości Jana, mam was teraz dwoje do kochania — mówiła Leszczycowa tuląc do siebie Amelią. — No, uspokój się, usiądź tu przy mnie i mów, co mi miałaś powiedzieć. Więc przygotowywałaś się do chrztu, i to zapewne w nadziei połączenia się z Janem?

— O nie, ja nie miałam tej nadziei, a przynajmniej nie tutaj, na ziemi. Ale chciałam przynajmniej tam w niebie należeć do niego. Panna Zenobia obiecała mi to.

— Poczciwe dziecko — odezwała się Leszczycowa wzruszona tem wyznaniem, tak pełnem gołębiej prostoty, wiary i miłości.

— Ale teraz mateczko, kiedy już wiesz o tem, to ty będziesz kończyć moje przygotowania do chrztu, dobrze? Ja wolę, gdy ty będziesz mi mówiła o waszym Bogu. Panna Zenobia musi nie znać go dobrze, ona mi go wystawiała nieraz tak strasznie, ponuro, mówiła mi o jakichś wiecznych potępieniach, okrutnych karach, wystawiała mi świat jako zły, przewrotny, a mnie się zdaje, że gdyby tak było, toby Pan Bóg nie posyłał na ten świat ludzi, aby ich tylko udręczać życiem, bo to byłoby nielitościwie z jego strony. Mnie się zdaje, że świat jest dobry i piękny i Pan Bóg nie na umartwienia stworzył tylko człowieka. Prawda? Dlaczegoż miałby męczyć niepotrzebnie tych, którzy nic złego nie zrobili? Naprzykład ciebie? Ja wiem, że ty sobie inaczej także Pana Boga wyobrażasz — twój Pan Bóg musi mieć twarz uśmiechniętą, pogodną, musi kochać tę swoją dzieciarnię i cieszyć się nią. A gdy robią źle, to jego boli; ale nawet w gniewie nie może być tak strasznym, jak go mi wystawiała panna Zenobia, bo to przecież zawsze ojciec. Ty milczysz mateczko? Śmiejesz się ze mnie? Może ja nie do rzeczy mówię, ale bo ja nie znam jeszcze tajemnic waszej religii, mówię podług serca.

— To też Pan Bóg na serce patrzy tylko, moje dziecko i według tego sądzić nas będzie. Nie w słowach, nie w katechizmie jest religia, jeno w czynach naszych. To też nauka Chrystusa krótka jest i prosta, on kazał nam miłować bliźnich i nie robić im źle, a jeżeli można i gdzie można, robić dobrze. Jeżeli to umiesz, umiesz wszystko do przyjęcia chrztu, i nie potrzebuję ci więcej mówić, tylko, abyś żyła według tych słów Chrystusa.

Na tem ograniczyła się cała nauka religii Leszczycowej i Amelia zrozumiawszy ją dobrze, nie potrzebowała już męczących i zawiłych wykładów panny Zenobii. Napróżno ta wmawiała w nią, że wiele jej brakuje jeszcze do zupełnego przygotowania się do godnego przyjęcia sakramentu chrztu, żydówka stanowczo oświadczyła, iż więcej ćwiczeń religijnych odbywać nie będzie i przestanie na naukach Leszczycowej. Rada nie rada musiała gorliwa propagatorka ustąpić przed tą nieugiętą wolą neofitki. Pocieszała się, że jeszcze ksiądz Bonawentura wymownemi naukami swemi dokończy zupełnej edukacyi jej uczennicy i czekała niecierpliwie przybycia jego.

Pierwej jednak nim ks. Bonawertura przybył Jan ze Lwowa. Był on już uwiadomiony przez matkę dokładnie i o przygotowaniach Amelii do chrztu i o tem, jak przyjęła wiadomość o jego dla niej uczuciach. To też wracał do domu pełen radości i wiary w szczęście. Nie były to już jakieś nieokreślone marzenia, jakie dawniej przewijały mu się po głowie, jakieś gonienie wiatru w polu, obłoków po niebie. Marzenia jego miały grunt, cel. Kochał i wiedział, że jest kochany miłością cichą, głęboką a trwałą, na której mógł bezpiecznie budować przyszłość swoją. Interesa jego we Lwowie poszły mu także po myśli; miał parę korzystnych posad do wyboru, od niego tylko zależało zdecydować się. Jechał do domu naradzić się w tym względzie, wiedział, że mu radzić będą sami najżyczliwsi, których los jego obchodzi tak, jak jego samego; więc nie wątpił, że radzić mu będą jak najlepiej. Jechał więc pełen najlepszej otuchy, wesoły zadowolniony i pierwszy raz dopiero uczuł, że wraca do rodzinnego ogniska, gdzie skupiały się wszystkie jego myśli, pragnienia. Po za tem kółkiem nie miał żadnych, tu był jego punkt ciężkości, treść jego duszy. To też w miarę im bardziej zbliżał się do tego punktu, siła przyciągania działała coraz więcej na jego serce.

Jakże rozkosznego doznał wrażenia, kiedy dojeżdżając do stacyi, zobaczył z okien wagonu rodziców i Amelią czekających na niego w dworcu kolei. Żadna panna obznajomiona choć trochę z formami towarzyskiemi, nie byłaby pewnie odważyła się wyjść naprzeciw młodego człowieka, który jeszcze po formie nie oświadczył się; ale Amelia nie znała form towarzyskich, szła tylko za popędem serca, a to serce nie pozwoliło jej zostać w domu i czekać, kiedy mogła o kilkanaście minut wcześniej cieszyć się jego widokiem.

Powitanie jej z Janem było krótkie, spojrzeli sobie w oczy, podali ręce i w tem uścisnieniu, w tem spojrzeniu powiedzieli sobie wszystko. Dopiero w domu, kiedy zostali na chwilę sami, (bo ojca odwołał jakiś interes, a matka krzątała się w kuchni około przyrządzenia wieczerzy dla syna) Jan zbliżył się do Amelii, wziął ją za rękę i odezwał się wzruszonym głosem:

— Panno Amelio, nie gniewasz się na mnie, żem użył pośrednictwa matki mojej do powiedzenia ci tego, co sam powinienem był powiedzieć?

Podniosła na niego oczy pełne wdzięczności i miłości i rzekła:

— Ja za to matkę pańską kocham teraz jeszcze bardziej.

Przycisnął jej rękę do ust z uczuciem.

— A więc mnie kochasz? Milczysz? Ja chcę to słyszeć z ust twoich.

— Ja nie wiem czy to miłość, ale ja jestem teraz tak szczęśliwą jak nigdy. Tak szczęśliwą, że aż boję się o to szczęście.

— Nie bój się, moja droga, nikt go nam już teraz nie zabierze.

Ojciec przerwał im tę rozmowę. Wracał z kancelaryi swojej z papierami pod pachą.

— Jest tu jakiś list do ciebie — rzekł do syna i podał mu list w różowej kopercie na której zobaczył złoconą cyfrę Julii.

List ten zadziwił go mocno i przestraszył. Czego może chcieć od niego Julia, dlaczego odzywa się do niego teraz, kiedy wszystko między nimi uważał za skończone. Z pewnem oburzeniem rozerwał kopertę i wyjął mały arkusik eleganckiego papieru, na którym także była cyfra Julii; pismo jednak nie było jej, tylko Leona, a zawierało te słowa:

„Piszę na wyraźne żądanie Julii, w jej mieszkaniu i na jej papierze, aby ci donieść, że gotuje się ogromny najazd na ciebie; dnia 20 bowiem tego miesiąca, wybieramy się wszyscy do jednego z miejsc kąpielowych w Galicyi, do którego droga prowadzi przez wasze miasteczko. Jest to kaprys panny Julii, że właśnie wybrała to miejsce, a ty wiesz, jak rodzice dogadzają kaprysom rozpieszczonej jedynaczki. W waszem miasteczku wypada podobno nocleg. Julia spodziewa się po twojej galanteryi, że jako obznajomiony z miejscowością, zajmiesz się przygotowaniem nam wygodnego pomieszczenia i będziesz oczekiwał naszego przybycia na dworcu kolei. Mamy tam stanąć d. 21. o godzinie siódmej wieczorem."

U spodu listu stało drobnemi, nierównemi literkami wypisane ręką Julii: „do widzenia."

Jan szybko przebiegł oczami list, i chmura niezadowolenia zawisła na jego czole. Cień jej ponury odbił się także na twarzy Amelii, i ją

ogarnął jakiś niepokój, tem więcej, gdy na kopercie leżącej u jej nóg zobaczyła stempel wiedeńskiej poczty. Domyślała się, ale nie śmiała pytać Jana o nic. On sam jednak po przeczytaniu oddał jej list i rzekł:

— Masz, czytaj.

— Od niej? — spytała nieśmiało.

— Nie, ale o niej.

Ten dowód zaufania ucieszył Amelią. Nie mogła już być dla niej straszną treść listu, z którego Jan nie robił sekretu przed nią. Gdy przeczytała Jan spytał jej:

— I cóż radzisz mi zrobić?

Amelia nie wiedziała co odpowiedzieć. Nie śmiała odradzać mu spotkania się z Julią, a bała się tego. Jakieś trwożne przeczucie ostrzegało ją o niebezpieczeństwie, które groziło jej szczęściu.

— I cóż? — powtórzył Jan patrząc na pomięszaną Amelię, nic mi nie mówisz?

— Ja nie wiem, może matki się spytać.

— Prawda, ona najlepiej nam doradzi.

Wezwano więc matki do narady, bo właśnie weszła do pokoju. Jan objaśnił ją o co chodzi i zarazem dodał, że dla uniknienia spotkania, sądzi, że najlepiej będzie, gdy wyjedzie na ten czas z miasteczka.

— Dlaczego? — spytała matka całkiem spokojnie — czy się jej tak boisz?

Jan zawstydził się w obec tego pytania za swoje tchórzostwo. Rzeczywiście, dla czegoż miał uciekać przed nią, kryć się? Czyż miłość jego dla Amelii ma być tak słabą, żeby kilka godzin spędzonych w towarzystwie Julii, miały ją rozwiać lub osłabić? Dziś Julia przestała już być niebezpieczną dla niego, była już mu nawet obojętną. Byłby to nietakt z jego strony aby miał unikać tego spotkania. Owszem, powinien był widzieć ją i przekonać postępowaniem swojem, że między nimi wszystko już skończone. Uradzono tedy, że Jan wynajmie w oberży mieszkanie, pójdzie na spotkanie przybyłych, ułatwi i załatwi im wszystko, czego będzie potrzeba i wypełni w ten sposób obowiązki gościnności.

Amelia biernie zachowywała się wśród tej narady. Widziała, że Leszczycowej zdanie jest całkiem słuszne, że rada jej zdrowa; a jednak dałaby wiele za to, aby tego spotkania nie było. Miłość jest samolubną i zazdrosną. Tem tłomaczyła Amelia swoje obawy i starała się pokonać je w sobie.

Tymczasem nadszedł Leszczyc, który dotąd siedział w drugim pokoju kończąc rachunki gospodarskie.

— A ot, ojciec najlepiej ci doradzi — rzekła matka do Jana — zna dobrze miasto i będzie wiedział, gdzie najstosowniej umieścić będzie można twoich gości.

— Jakich gości? — spytał Leszczyc.

— Moi znajomi z Wiednia. Bankier Naderman z rodziną.

— Naderman? — powtórzyli prawie równocześnie Leszczyc i jego żona i spojrzeli na siebie dziwnym jakimś wzrokiem. Jan zauważył, że ojciec jego pobladł w tej chwili, a oczy jego zwykle takie łagodne rzuciły jakieś dzikie niespokojne spojrzenie.

— Więc ten twój bankier nazywa się Naderman? — spytała Leszczycowa.

— Tak. Może go znacie? On dawniej podobno mieszkał w Galicyi.

— Nie, nie znam go i znać go nie chcę — odezwał się Leszczyc.

— To też nie potrzebujemy przecie poznawać się z nimi — dorzuciła prędko Leszczycowa jakby się bała, żeby mąż czego więcej nie powiedział. — Jan ich przyjmie jako ich znajomy, zabawią pono przez noc tylko. (C. d. n.)

HISTORYA
3go PUŁKU PIECHOTY LINIOWEJ WOJSKA POLSKIEGO

z czasu kampanii przeciw najazdowi moskiewskiemu w r. 1831.

Opowiedziana przez żołnierza, sierżanta, w końcu podporucznika tegoż pułku.

(*Ciąg dalszy.*)

Tu wspomnę ile pułków wojska polskiego rewolucya zastała:

a) piechoty: 8 pułków liniowych; 4 pułki strzelców pieszych; 1 pułk gwardyi grenadyerów i 2 bataliony weteranów czynnych. Każdy pułk liczył 2 bataliony, a kompanii 8.

b) kawaleryi: 4 pułki ułanów; 4 pułki Szaserów; 1 pułk gwardyi szaserów, później nrem. 5tym oznaczony; w reszcie żandarmi, których w szwadrony zebranych znaliśmy pod nazwą karabinierów. Każdy pułk miał szwadronów 4. Nie podaję ani artyleryi, ani saperów, ani rakietników, pomijam wreszcie inne oddziały, albowiem dokładnego stanu ich nie znam, a wyręczy mię w tem szematyzm wojskowy z r. 1830.

Najszybciej daje się formować gwardya narodowa, nasza też doraźnie znalazła się w możności stanąć na straży bezpieczeństwa, spokoju i porządku publicznego; a gdy w niedzielę wojsko opuściło Lublin, wszystkie odwachy zajęła gwardya narodowa. Pierwszą straż przed bramą na głównym odwachu trzymał p. Lubowidzki, prezes wojewódzki, dawny oficer.

Rozumie się, iż służba odwachów, patroli i rontów, po wymarszu wojska z Lublina, gwardyi narodowej przekazana, ciągle przez nią wykonywaną była, aż do zalania kraju przez Moskali — ja zaś patrzałem na nią do 10. stycznia 1831 r., w którym to dniu jako żołnierz Lublin wraz z moim batalionem opuściłem — miałem sposobność przyglądnąć się, jak od tej służby nikt się nie chronił, jak najznakomitsi obywatele wiejscy w temże mieście zamieszkali, i najwyżsi dygnitarze urzędowi od niej się nie usuwali. — Młodzież jednak przygotowująca się do wstąpienia w szeregi wojskowe, wciskała się na odwachy — ja co drugi dzień służbę tę pełniłem, a była to niezła przygotowawcza nauka żołnierza, bo służby uczyli nas starzy oficerowie kolegujący z nami po odwachach. Pamiętam, że nocy jednej stojąc z karabinem na warcie przed kasą w komisyi wojewódzkiej, widząc nadchodzący ront prowadzony przez dobrze mi znanego i łaskawego na mnie prokuratora trybunału, czci godnej pamięci Adama Tarowicza, zamiast zawołać „kto idzie!“ powitałem go jak przy zwykłem spotkaniu, za co zgromiony zostałem. To też drugi raz w podobnym wypadku omal bagnetem nieprzebiłem mego profesora Niedabylskiego, który widząc mnie, na zawołanie „kto idzie“, nie dość prędko odpowiedział, i nie zatrzymał się dla dania odezwu. — Z mojej służby odwachowej pamiętam jak wieczora pewnego ukazała się zorza północna — ztąd mylny wniosek, iż kozacy ustępujący z W. k. Konstantym palą niedaleką okolicę; a innego wieczora, jak w mundurze studenckim wszedł na odwach mój znajomy Henryk Golejewski, który przed kilku miesiącami wstąpił do konnopolców (pułk ułanów moskiewskich stojący w Warszawie). Gdy pułk jego z W. k. Konstantym ustępował od Warszawy ku Bugowi, skorzystał ze sposobnej chwili, opuścił W. księcia, i przebrawszy za studenta, do Lublina się dostał. Później wstąpił do krakusów lubelskich. Opowiedział nam wiele szczegółów z dnia 29. listop., że od paru dni po nocach konie w koszarach moskiewskich były posiodłane, i o innych gotowościach, o czem wiedział jako żołnierz tej komendy. — Wspomniałem o formowaniu dymisyonowanych w bataliony i szwadrony, tudzież o formowaniu młodych pułków. Dymisyonowanych formowali oficerowie czynni z pułków ad hoc odkomenderowani; zaś do sztyftowania młodych pułków ustanowiono wojewódzkich regimentarzy, a tymi byli najpoważniejsi obywatele zwykle tacy, którzy przedtem zajmowali wyższe wojskowe stopnie. W Lublinie formowały się zdymisyonowanych trzecie i czwarte bataliony do 3 i 7 pułku piechoty, tudzież z młodych pułków, pułk 15. piech. i jazda czyli krakusy lubelskie.

Kto formował do 7. pułku, nie pamiętam, zaś do 3. pułku, wyznaczonym był major Jastrzębski, tęgi człowiek i dzielny oficer. Był on wielkim nieprzyjacielem wszelkiego rozwolnienia w wojsku, a gdy pozwolono podoficerom nosić po za służbą czerwone czapki krakuski, jakie ogólnie wszyscy cywilni używać zaczęli, on to pozwolenie źle widział, a nawet w swojej komendzie zakazał.

Sztyftowanie zaś młodych pułków w Lublinie poruczono dawnemu generałowi Radzimieńskiemu, właścicielowi Brzezicy i przyległych majątków. Był on teściem wspomnionego wyżej prokuratora trybunału, to też jemu oświadczyłem moją chęć wstąpienia do wojska, chociaż mnie do tego jeszcze wiek mój nie obowiązywał. A gdym mu powiedział, iż wybieram piechotę, ofiarował mi w 15. pułku setnikostwo, to jest rangę oficerską i komendę plutonu. — Jakkolwiek to moją próżność pobudzało, jednakże górę wzięła chęć szczera, służyć pożytecznie, a dziękując za jego łaskawość, w te do niego odezwałem się słowa: „Jakżeż potrafię komenderować stoma ludźmi, kiedy sam nie umiem być szeregowym żołnierzem — wolałbym służbę mą zacząć w jednym z formujących się tu batalionów z dymisyonowanych.“ Pochwalił on moje zapatrywanie się na mój nowy zawód; pojechał ze mną do majora Jastrzębskiego, z którym był zażyły, a który widząc moją szczupłą budowę i wiek niedościgły, długo przyjęciu oponował, przedkładając, że siły za słabe do wytrzymania trudów kampanii, że przy pierwszym marszu siły mię opuszczą, i że bezpożytecznie lazarety zalegać będę i byłby mię z pewnością nie przyjął, gdyby nie nalegania moje i generała. To też tenże sam major Jastrzębski, później pułkownik 14. p. piech. gdy się ze mną po wejściu korpusu Ramorina już w Galicyi spotkał, przybliżył się do mnie, i powiedział: — „No, wytrzymałeś, niespodziewałem się, a ja cię wszędzie widziałem.“ Widać, że na mnie uważał i rzeczywiście pamiętam, jak oko w oko spojrzał na mnie w ol-

szynie pod Grochowem, i w ataku na bagnety pod Ostrołęką.

Szanowny generał zastrzegł dla mnie u mego majora protekcyą, i awans, już z tego powodu, iż mogłem od razu zacząć służbę w jego pułku, jako oficer, czego dla powodów, jakie przedłożyłem, zrezygnowałem.

Major mój przydzielić mię kazał do 8mej, to jest chorągwianej fizilierskiej kompanii 3go batalionu — gdzie było nas sześciu (Biernacki, Romuald Bukowski, Czeszejko, Antoni Han, Aleksander Kociutkiewicz i Jacenty Merl) z inteligiencyi ochotników, a zwano nas kadetami. Moim bezpośrednim dowódcą był kapitan Piotrowski, który obok mnie pod Grochowem od kuli działowej walecznie poległ. W kompanii tej prócz kapitana, porucznikiem był Wincenty Korzeniowski, i świeżo ze szkoły podchorążych awansowani podporucznicy Januszyński i Biernacki —, sierżant starszy, czyli feldfebel Jędrzejowski. Majorowi adjutantował podporucznik Lipowski — rzecz bardzo prawdopodobna, iż jest on ojcem tego Lipowskiego, który się wsławił w wojnie prusko-francuskiej w r. 1870 i 1871.

Po tak długim ustępie ubocznym, opowiadanie moje odtąd wyłącznie dotyczeć będzie pułku mojego, a czasami odnosić się tylko do batalionu mego lub też kompanii, o ile takowe oderwanie od całości pułku poruszały się lub działały — i dla tego ściśle oznaczyłem batalion i kompanię, do której zaliczony byłem.

Po wymarszu z Lublina w dniu 4. grudnia 1830 r. brygady gen. Morawskiego, pułk 3ci, to jest 1szy i 2gi batalion rozłożonym został na kwaterach w województwie podlaskiem w okolicy Siennicy, gdzie stanął sztab pułku, a zaś 3ci i 4ty batalion podówczas formował się w Lublinie. Formowanie to szło raźnie; w kilku dniach ściągnięto domisyonowanych, a byli między nimi i tacy, co po 60 lat wieku liczyli. Umundurowanie i uzbrojenie było prędkie, bo arsenał miał broń zapaśną, a pułkowe komory ubiorcze były pełne *), brakło tylko kaszkietów i tornistrów skórzanych — czapki więc zastąpiły kaszkiety, a w miejsce skórzanych, rozdano nam tornistry płócienne.

W Zamościu było więzienie dla osądzonych zbrodniarzy wojskowych — więźniów tych uwolniono i rozdzielono po kilku do każdej kompanii formujących się w Lublinie batalionów. Komenda obsadzona była oficerami z pułków, zaś oficerowie dymisyonowani, przeznaczeni byli do nowo formujących się pułków młodego żołnierza. Pułki młode te bywały zasilone starym żołnierzem bądź z dymisyonowych bądź z pułków, których na istruktorów i podoficerów powołano. Gdy już bataliony naszej brygady znalazły się skompletowane, odkomenderowano 4ty na załogę do Zamościa, zaś 3cie zatrzymały się czas niejaki w Lubelskich koszarach, a około 10. stycznia 1831 r. otrzymały rozkaz złączenia się z pułkami swymi. Batalion 3go pułku przez Lewartów, Kock, pociągnął w okolicę Siennicy i tamże na kwaterach po wsiach rozłożony, połączył się ze swoim pułkiem. Kompania 8ma stała w Starej-Wsi.

Pułkiem dowodził pułkownik Andrychiewicz, bat. 1ym p. pułkownik Dąbrowski, bat. 2im p. pułkownik Thieme, bat. 3cim major Jastrzębski. Tak rozłożeni na kwaterach, gotowi każdej chwili do wymarszu, czekaliśmy na rozkaz powołujący nas w pole — i czekaliśmy bardzo długo, cały miesiąc nieczynności nużącej — bezowocnie zużywającej pierwszy zapał dla sprawy ojczystej; i wreszcie przyszedł ów niecierpliwie wyglądany rozkaz dnia 10. lutego 1831 r. o godzinie 10tej z rana. Obwieścił go generałmarsz bębnów i trąbek tyralierskich, a w pół godziny kompanie były już do wymarszu gotowe. W Cegłowie złączyły się kompanie 3go bat., a na drugi dzień brygada 3go i 7go pułku, z jedną lekko pozycyjną bateryą dział zajęła Węgrów nad rzeką Liwem. Tu zastaliśmy 3ci pułk ułanów. Drugiego dnia rozlokowano bataliony po sąsiednich wioskach — dalej rekonessans całą brygadą aż do Sokołowa. Kompania 8ma została w Węgrowie dla strzeżenia mostu na Liwie. Niespotkawszy nieprzyjaciela, tylko jakąś małą komendę kozacką ostrzeliwszy, rekonesans wrócił do wiosek, a drugiego dnia brygada odsunęła się od Węgrowa, a batalion nasz stanął w osadzie szwabskiej Rudno — inne bataliony stały w pobliżu, a jeden podobno 1szy naszego pułku został nad Liwem i tamże przez rzekę stoczył małą potyczkę.

Stojąc w Rudnie, kazano jednego wieczora, gdy się już dobrze ściemniło, stanąć pod broń, ściągnięto warty i pikiety, i z zaleceniem największej cichości, poprowadzono batalion wąską krętą leśną drogą. Po dwugodzinnym marszu, naraz dał się słyszeć ogień tyralierski w bliskości parę setek kroków, i okrzyk hura! Batalion ujrzał się na opolu otoczonem ze wszech stron lasem, środkiem przechodził gościniec z Węgrowa, a przed nami wielka karczma, młyn i kilka budynków. Był to Maków. Spostrzegliśmy, iż nie sami tu jesteśmy — zobaczyliśmy prócz batalionów naszego pułku, 4ty i 8my pułk liniowy, 2gi ułanów i bateryą dział. Jenerał Skrzynecki dowodzący naszą dywizyą, a mianowicie: 3m, 4m, 7m i 8m piech. z dodatkiem 2go ułanów i kilkunastu innych szwadronów poczęści młodej kawaleryi, tudzież z dodatkiem odpowiedniej artyleryi, dowiedział się, iż tego wieczora Moskale nieuważnie wysunęli swą awantgardę, złożoną z dwóch batalionów piechoty i oddziału kozaków za rzeczkę pod Makowem, i że się tam obozem na noc rozłożyli. Zarządził więc wyprawę by tę awantgardę zabrać; i byłby się ten zamiar udał, gdyby nie porywcza gorączka tyralierów, którzy nieprzyjaciela wprzód zaatakowali, zanim kolumny nasze zdołały odwrotowe przesmyki nieprzyjaciela obsadzić. Jednakże ubiliśmy kilkunastu, stu kilkudziesięciu wraz z bagażami schwytaliśmy, a pomiędzy nimi wielu oficerów, dla których ucieczka tem trudniejszą była, ile że pułkownik i oficerowie zakwaterowali się w karczmie. Za uciekającymi Moskalami puszczono kilkanaście kul działowych. (C. d. n)

*) Ubiorczym był porucznik Kuhn, późniejszy major, o którym poniżej dwa razy wspominam; ten sam, który znajdował się w Woisławicach w czasie napadu Moskali w r. 1863.

NIE ZAWSZE WIERZYĆ TRZEBA

NOWELLA

przez

ZOFIĘ RUDNICKĄ.

(Dokończenie).

Jak gdyby zwabiony słowami jasnowłosej rusałki, pan Józef Brzeski przedstawił się nazajutrz u pani konsyliarzowej, oświadczając się z nadziejami i chęciami swojemi.

Ciotka zrozumieć nie mogła odmowy Loli, zachodziła w głowę, jakaby to przyczyna być mogła. Pan Józef, człowiek bogaty, zagospodarowany, dzierżawca pięknej wsi pod Czerniowcami, wcale przystojny, i choć Lola krzywiąc usteczka mówiła:

— Ciociu, taki stary! — miał zaledwie lat 36, najpiękniejszy wiek męzki. Wprawdzie trzydziestosześcioletni mężczyzna dziewczynie ośmnastoletniej wydaje się zawsze starym, jednak jak wiemy, nie ta była przyczyna odmowy, której ani pani konsyliarzowa, ani pani radczyni, ani nawet pan aptekarz dojść nie mogli. Pani radczyni przebąknęła coś, czy się Lola nie zajęła kuzynkiem, lecz pani konsyliarzowa zaprotestowała najmocniej.

— Ależ moja droga, ja mam takie baczne oko, a tak ich pilnuję, że nigdy dwóch słów w mojej nieobecności nie przemówią. Najobojętniejsi są dla siebie, a potem mój Gucio, to taki rozsądny chłopiec, nigdyby nie bałamucił dziewczyny, nie mogąc się żenić. Znasz go przecie, co to za rozum, co to za statek u tego chłopca, i to taki był od dziecka. Już to ja bym dopatrzyła, gdyby coś było, widzę nawet teraz, że takie baczne pilnowanie zbytecznem jest, nie ma tego najmniejszej potrzeby.

Zapewniwszy tak samą siebie, zostawiała młodym co raz częstsze sposobności do pogadanek i zwierzeń, jakich próbkę widzieliśmy powyżej.

Odpowiedź panu Józefowi Brzeskiemu tak była dana przez ciotkę, że nie tylko nie odbierała mu całkowitej nadziei, ale okazywała mu w niej opiekunkę i orędowniczkę jego serdecznych pragnień. Odjechał z tą pełną pociechy myślą, że po skończonej żałobie pójdzie mu szczęśliwiej.

A tymczasem młodzi pili z pełnego kielicha roskoszy! Panu Gustawowi z początku nektar ten smakował jak nektar bogów, powoli zaś przechodził w trunek miły, lecz już ziemski. Prawo natury już tak urządziło, że miłość u mężczyzny do pierwszego pocałunku świeci najjaśniejszemi barwami, po nim blednie i ćmi się. W pierwszych chwilach zmiana będzie niedostrzeżona, tak jak niedostrzegamy po uderzeniu dwunastej godziny, iż słońce zwraca się ku zachodowi, przecież ono choć nie widocznie, lecz niezmiennie już zniża się, i nie ma siły, któraby je zwróciła napowrót na południe. Gustawowi teraz coraz częściej przychodziło na myśl, że matka ma zupełną słuszność, że on żenić się z Lolą nie może, lecz już towarzystwo tak mu było zawsze miłem, tak pożądanem każde sam na sam, iż uważał za bardzo słuszne, by została przy jego matce póki on nie będzie awansowany i przeniesiony gdzieś ze Lwowa.

Czas biegł szybko, rok żałoby minął. Pana Gustawa w tym czasie posunięto w randze, został *bezpłatnym* auskultantem. Lola z radością przyjęła tę nowinę, pewną będąc, że jest to stopień pierwszy, zbliżający ją do szczęścia. Gdy powiedziała to kuzynkowi, dostała odpowiedź jakiej się najmniej spodziewała.

— Moja droga, zostać auskultantem bezpłatnym w sądzie naszym, jest to dostać patent na dwa lata przynajmniej na wyrobnika, o którego nikt się nie spyta, nikt nie zatroska zkąd siły bierze na ciężką pracę, czy nie stera ich zupełnie pobocznym zarobkiem na życie. Ja dotąd byłem szczęśliwszy od wielu kolegów, będąc we

Lwowie, miałem utrzymanie jakie takie przy matce, lecz teraz zapewne przeniosą mnie gdzieś do oddalonego miasteczka, i zostanę tam pozostawiony sam sobie, razem żyć mogliśmy, rozrywać matka nie ma z czego.

Lola ręce załamała.

— A cóż się ze mną stanie, gdy ty wyjedziesz!

— Właśnie chciałem pomówić o tem. Ty wiesz jak cię kocham i właśnie dla tego, że cię kocham więcej jak siebie samego, radzę ci nie odmawiać panu Józefowi, gdy przybędzie tym razem.

— Nie kończ Gustawie! ja tego nie przeżyję!

— Uspokój się najdroższa, czyż ja ci mówię, że kochać cię przestanę? czegoż rozpaczać?

— Jakto? ja mam zamąż wyjść?

— Przecież starą panną zostać nie zechcesz.

— Gustawie, przecież....

— Sumienie każe tak ci radzić, na mnie czekać nim dojdę tą mozolną drogą co najmniej do adjunkta, to wiele, wiele czasu minąć może! A i to trzeba mieć na uwadze, że wszyscy śmiertelni jesteśmy, niechżeby śmierć przyszła na moją matkę w tym czasie, cóż ty wtenczas poczniesz? gdy poszedłszy za pana Józefa, będziesz miała los zapewniony na całe życie!

Widzimy jak słońce miłości Gustawa było już na zachodzie!

Lola płakała, kuzynek poziewał, szeptał coś do ucha, nachyliwszy się wdzięcznie, ściskał rączki, dość że w końcu czy przekonał o prawdzie słów swoich, nie wiemy, lecz osuszył łezki z niebieskich oczek.

W parę dni uwiadomiono go, iż został przeniesiony pod Kraków.

Rozstanie było czułe, rzewne, serdeczne, Lola płakała, Gustaw był smutny, gdyż istotnie żal mu było odjeżdżać od matki i miłej kuzynki. Zamienili wiele słów cichych, uścisków kradzionych. Lecz służba — niewola, pomimo żalu i smutku, odjechać musiał.

Opustoszał dom pani konsyliarzowej, dziewczę często skarżyło się na głowę, by się wytłumaczyć z czerwonych oczek, budoar stracił dla niej cały urok, nudziła się.

A czas swoim zwyczajem biegł i biegł, nie wstrzymany ni radością i szczęściem, ni smutkiem i tęsknotą ludzką.

Gustaw pisywał do matki, w każdym liście przesyłał parę miłych słówek dla kuzynki, lecz jakże to było daleko od tego, czego ona pragnęła!

W miesiąc po wyjeździe Gustawa przybył z powtórnem zapytaniem pan Józef Brzeski. Ciotka i znajome i kto żyw tylko, nastawał na piękną Lolę, by się ostatecznie decydowała i przyjęła tak świetną partyę.

Pani konsyliarowa napomknęła nawet, iż tak wiecznie być nie może jak jest obecnie, iż biorąc siostrzenicę do siebie, liczyła na to, że ta pięknością swoją los zrobi, i w krótkim czasie dom własny mieć będzie, że syna nie może zostawić bez pomocy, przez co fundusze jej znacznie uszczuplają się, przeto trafiającą się partyę uważać trzeba jako szczęście rzadko spotykane na ziemi.

Lola płakała i prosiła jeszcze o parę miesięcy zwłoki.

Powiedzieliśmy na początku, że Lola tak ze słabością była kochana przez matkę, iż sama kochać już nie umiała. Brak tej umiejętności, nie rozciąga się wszakże nigdy do kochanka. Kobieta nie umiejąca kochać, nie potrafi kochać rodziców, rodzeństwa, bliźnich, a nawet męża, lecz dla kochanka znajdzie jej zawsze pod dostatkiem. I Lola kochała Gustawa. Płakała więc i prosiła o zwłokę. A gdy uzyskała ją, gdyż poczciwy pan Józef zgodził się czekać jeszcze, byle nie odbierano mu całkowitej nadziei, gdy więc uzyskała zwłokę, napisała długi list do kuzynka, prosząc o odpowiedź „poste restante.“

Od tej pory zrobiła się bardzo pobożną, każdego rana wychodziła do kościoła, i każdego też rana wstępowała na pocztę pytając czy nie ma listu pod jej adresem.

Długo, a jak jej się zdało, wiek cały, trwały te pobożne przechadzki, w końcu, dnia jednego urzędnik pocztowy przerzuciwszy spory pakiet listów, podał jej z ukłonem list w eleganckiej kopercie. Lola pochwyciła go drżącą ręką, wsunęła za sukienkę i z bijącem sercem spieszyła do domu.

Zamknęła się w swoim pokoiku, rozerwała gorączkowo kopertę, i czytać poczęła. W miarę jak oczy przebiegały linie pisane, napełniały się łzami, i łezki te toczyły się po zbladłem trochę licu, wilżyły sukienkę i trzymany papier w ręku, i biegły a biegły jedne po drugich, a dziewczę oczu oderwać nie mogło od słów, które jej ten ból zadawały, widocznie był to ból upajający!

Nareszcie po długiem, długiem takiem czytaniu przycisnęła do ust pismo, które ją łez tyle kosztowało, złożyła i wsunęła znowu za sukienkę. Lola kochać musiała prawdziwie, gdy całowała pismo ręki, która jej serce rozdzierała!

Dnia tego nie wyszła ze swego pokoiku, skarżyła się na ból głowy, i prócz filiżanki herbaty nie przyjęła żadnego pokarmu.

Nazajutrz bledsza jeszcze, bledsza po bolu głowy, powiedziała ciotce, że gdy minie tych parę miesięcy zwłoki, które uprosiła, pójdzie za pana Józefa.

Wszystko na świecie mija, minął i ów czas wybłagany przez Lolę. Odbył się jej ślub z panem Józefem. Ciotka, znajome i znajomi unosili się nad szczęściem jakie ją spotyka. Pan młody wystąpił z prezentami prawdziwie pańskiemi; opowiadał jej o domu wytwornie urządzonym, o ekwipażach i sługach — czyż mógł kto wątpić, że będzie szczęśliwą?

Gustaw przybył na wesele kuzynki. Bladej i smutnej, szeptał pokryjomu o poświęceniu swojem dla jej szczęścia, o zimnej i bezlitośnej konieczności, która łamie jego życie, o wiecznej, czystej i wyższej miłości jaką zachowa w sercu dla niej! Dopełniwszy tego, jak wmawiał sam w siebie, obowiązku względem młodej kobiety, odjechał. Pan Józef też zabrawszy piękną żonę, powiózł ją do domu z takiem staraniem urządzonego. W domu tym brakowało tylko chyba mleka ptasiego, począwszy od serdecznej, szlachetnej, nieegoistycznej miłości męża do najdrobniejszych wygód i wygódek, zapasów i zapasików, wszystko było. Pani Brzeska otoczona tym wszystkim, była smutna, kwaśna, niezadowolona. Oznaki przywiązania męża, miłość jego poczciwą, odpychała chłodem. Pan Józef za uśmiech przyjazny, za cieplejszy uścisk, byłby dał pół życia, lecz wkrótce poznał, że i całem nie kupiłby tych skarbów. Nie zrażał się, kochał prawdziwie, pragnął szczęścia żony, nie swego. Lecz pani Brzeska z każdym tygodniem, z każdym miesiącem, stawała się zimniejsza, kwaśniejsza, opryskliwsza. Nie zastanawiała się nad tem, że mąż nie był nic a nic temu winien, iż Gustaw nie mógł się z nią ożenić, ni temu, że radził jej i zdecydował by wyszła za mąż; ni temu, że ona dobrowolnie podług rady jego postąpiła. W całej tej sprawie pan Józef był najmniej winien, dla czegoż miał cierpić najwięcej?

Lecz by młoda kobieta w położeniu pani Brzeskiej przyszła do takich przekonań, trzeba by w sercu mieścić umiała prócz uczuć danych od natury, uczucia nabyte, których podstawą jest także dar natury, których podstawą jest — dobroć! Gdyby jej serce za podstawę i fundament miało dobroć, tak jak każde serce kobiece mieć powinno, byłoby oceniło zacność męża a nieszlachetność postępowania z nim takiego jak postępowała, i wtedy byłaby nadzieja zmiany, lecz pani Loli serce tej podstawy nie miało, stała się więc dla męża nie żoną, lecz kapryśną panią. Pan Brzeski traktował ją jak rozkapryszone a pieszczone dziecko. Stosował się we wszystkiem, dogadzał, myśli zgadywał.

W lecie naparła się pani Brzeska, by ciotka jej przyjechała do niej na świeże powietrze. Mąż napisał natychmiast list zapraszający panią konsyliarzowę w dom swój. Przybyła, i pani Lola rozweseliła się trochę. Pan Józef nie posiadał się z radości. Czasem teraz zdobyła się dla niego na uśmiech przelotny, na słówko, nie powiemy cieplejsze, ale grzeczniejsze. Zdawało mu się, że zwraca teraz przynajmniej uwagę na jego uprzejmość, że przyjmuje starania w dogadzaniu jej woli. I od tych dowodów przywiązania żoninego tak już serce topniało temu poczciwemu człowiekowi, iż tylko myślał dzień i noc jak się jej wywdzięczyć. Raz nawet powiedział:

— Życie moje najdroższe, gdybym ja wiedział co zrobić, by ci radość sprawić, czem cię ucieszyć, w czem dogodzić, by widzieć cię częściej uśmiechniętą.

Młoda kobieta odpowiedziała z żywością i rumieńcem na twarzy:

— Największą byłoby dla mnie radością, ciotce jak można najbardziej uprzyjemnić pobyt w naszym domu.

— Powiedz najdroższa, co myślisz, że miłem by jej było, a wszystko zrobię.

— Myślę, że uszczęśliwiłoby ją, gdyby mogła mieć tu syna, parę dni przynajmniej.

— Ależ kochanko, to rzecz najłatwiejsza, nie wymagająca ni trudu, ni kosztu, napiszę do kuzyna, by wyrobił sobie na dni parę uwolnienie z bióra i by przyjechał do nas.

Pan Józef napisał do Gustawa. I Gustaw w tydzień przybył na trzy dni na wieś do państwa Brzeskich.

Lola uszczęśliwiona, naturalnie szczęściem ciotki, odżyła, powróciła jej wesołość i żywość dawna. Przyjmowała swoich gości z prawdziwą gościnnością, zdawało się, że aż dom polubiła, że aż stała się gospodarniejszą. Oprowadzała kuzyna wszędzie, z największem zajęciem pokazywała mu rzeczy, które dotąd były jej najobojętniejsze, urządzała spacery, przejażdżki. Coraz częściej uśmiechała się mężowi, a nawet raz sama nadstawiła mu czoło do pocałunku. Pan Józef radby był wieki całe zatrzymać tych gości, którzy mu szczęście pod dach wnieśli. Lecz Gustaw po cudownie spędzonych trzech dniach w domu kuzynki musiał powracać do urzędu. Lola zasmuciła się bardzo smutkiem ciotki po rozstaniu z synem, a nawet parę razy po jego wyjeździe, przyklękała przy jej kolanach, a ukrywając twarz w fałdach sukni, szeptała cichym głosem:

— Biedna ciocia, Gucio pojechał...

A gdy podnosiła główkę z kolan ciotki, to oczka jej wyglądały jak modre bławatki rosą skropione.

Najtrudniejszy początek, Gucio spędziwszy raz tak mile czas w domu kuzynki, niemal wszystkie potem święta, wszystkie chwile, które mógł oderwać od zajęcia urzędowego, przepędzał tamże. I pewnie nie raz przyszła mu ta myśl, która w pamiętnej dlań chwili zjawiła się była w jego głowie: Iż bardzo jest przyjemnie mieć kuzynkę bogatą, piękną — a zamężną.

Jak długo trwał taki stosunek uszczęśliwiający męża — nie wiemy, to tylko pewna, że nic na świecie nie trwa wiecznie. Nie wiadomo z jakiej przyczyny pani Brzeska poczęła znowu bywać często w złym humorze, znowu dogodzić jej i rozweselić nie było sposobu, a często po paro dniowej bytności kuzyna i wyjeździe jego, złe humory dochodziły do scen gwałtownych i niemiłych. Pan Józef wtedy nacisnąwszy czapkę na uszy, uchodził w pole, gdyż z zasady pani, był zawsze wszystkiemu winien. Poczęła pisywać listy do ciotki, że jest nieszczęśliwą, że już dłużej w takiej niewoli nie wytrzyma, że jest to nad jej siły, że czuje, że zdrowie się jej rujnuje, i tym podobne jeremiady.

Ciotka odpisywała, że nie pojmuje zupełnie skarg podobnych, bo czyż można przy takim jak anioł dobrym mężu czuć się nieszczęśliwą.

„To właśnie ta dobroć jego *zabija mnie* — brzmiała odpowiedź pani Brzeskiej — uzbroił się w nią jak w puklerz, aby wszystkiemu co stać się może, ja byłam winna, o! bo wytrwać dłużej w takiem położeniu niepodobna!“

W tym samym czasie pisała Lola do Gustawa.

O mój najdroższy! kiedy przyjdzie ten czas upragniony, gdy będziemy na zawsze połączeni. Pamiętasz zrobioną mi obietnicę? Dotąd widzę oczy twoje prawdy pełne i słyszę dotąd słowa gorące, któremi... lecz na cóż ci to piszę, wszakże ty masz tę chwilę tak samo w sercu i pamięci jak ja. Piszesz mi, w czem znajdziemy powody do rozwodu? mój drogi, powtarzam ci to samo, co już mówiłam, znajdziemy je w cielęcej dobroci »jego...“ na wszystko przystanie, wszystko przyjmie na siebie, byle to zrobić, czego ja pragnę! zobaczysz, że się ani sprzeciwi. Dotąd jednak nie domyśla się jeszcze niczego. Matkę twoją powoli przygotowuję. A tymczasem błagam cię jedyny mój, niech mam częste listy od ciebie, częste i długie, donoś mi o nadziejach awansu, od którego szczęście nasze zależy. Niech wiem kiedy mniej więcej nastąpić może mianowanie cię na adjunkta. O bo kto policzy łzy i tęskne chwile oczekiwania... etc. etc.

W liście tym było jeszcze wiele słów miłości, zaklęć serdecznych, nadziei złotych...

Chociaż odbierała wiadomości od Gustawa, nie tak przecież częste jak pragnęła. Wspomniał parę razy, że prawdopodobnie awans nie tak prędko spotka go jeszcze, jak by życzył sobie. Zachęcał do cierpliwości, i nie obiecywał się aż na Zielone święta, gdyż jak pisał, miał bardzo wiele zajęcia. Przed Zielonemi świętami dostała Lola list, w którym donosił krótko, iż jest trochę niezdrów i przyjechać nie może, lecz prosi, by była zupełnie spokojna, za parę tygodni wyrobi sobie uwolnienie kilkodniowe i pospieszy ucałować rączki najdroższej zawsze kuzynki.

Spokojną być nie mogła i nie umiała, lecz czekać musiała, nie było innej rady, za to mąż i słudzy ciężko odpowiadali!... Minęło parę tygodni, ni listu, ni Gustawa.

Dla zabicia czasu i nudów przyglądała czasem pani Brzeska gazety, szukała w nich zwykle „kroniki“ i kto „przyjechał i wyjechał.“ Wzięła do ręki przyniesioną z poczty, obróciła pierwszą stronnicę, rzuciła okiem na kronikę, poczerwieniła i zbladła. Pod rubryką: „Mianowania“ stało najwyraźniej: Gustaw B. mianowany adjunktem sądowym i przeniesiony do wyższego sądu w Krakowie.

— O! Boże, on pewnie chory, tak chory, iż nawet napisać do mnie nie może, nie może mi donieść o szczęściu swojem!

Pojadę natychmiast do matki jego, już od tej chwili dom mego męża nie powinien być moim domem. Bóg dobry dźwignie go z niemocy i natychmiast rozpocznie kroki rozwodowe. Pierwszym krokiem do przyszłego szczęścia jest wyjazd z tego domu, i wymożenie na mężu zgody na rozwód.

Tajemnicą przysłonięta scena między małżeństwem, boleść jakiej doznał najlepszy z mężów, to tylko wiadome, że trzeciego dnia od chwili wyczytania szczęśliwej wiadomości, iż Gustaw doszedł upragnionego celu i został adjunktem, Lola spieszyła koleją Czerniowiecką ku Lwowu.

Na te same schody, na które przed parą laty wstępowała okryta żałobą w towarzystwie ciotki i mało wtedy znanego kuzyna, wbiegała teraz z trwogą i bijącem sercem. Trwogą biło ono o zdrowie jego, radością na myśl szczęścia, do którego przybliża się. Gdy weszła do pierwszego pokoju, trwoga wzniosła się do najwyższego stopnia. Ujrzała przygotowania do drogi... Ach pewnie chory, bardzo chory i matka spieszy do niego...

Wbiegła do drugiego, i ujrzała ciotkę klęczącą przy dużym kufrze i układającą starannie w nim rzeczy. Pani Brzeska nie witając się po blisko rocznem niewidzeniu, zawoła w trwodze:

— Dokąd ciocia jedzie? Gustaw chory?!

Pani konsyliarzowa podniosła głowę i dopiero spostrzegła ukochaną siostrzenicę.

— Lolcia moja droga! zkąd się ty wzięłaś tutaj? — a spierając się silnie obiema rękami o kufer, z trudnością podniosła się z klęczek, i poczęła ją witać.

— Gustaw chory?! — głosem zmienionym przerwała Lola uściski.

— Jak to duszko, to ty nic nie wiesz? — pytała ciotka patrząc niedowierzająco jej w oczy. — Wszakżeż ja Lwów opuszczam i jadę do Krakowa do syna.

— O Boże! więc tak niebezpiecznie chory?!

— Nie życie drogie, Gucio ożenił się!

Piorun bijący z promieni słonecznych nie byłby straszniejszy! Nastąpiły mdłości spazmy, płacze, wśród których pani konsyliarzowa dowiedziała się całej prawdy.

Co tu począć? trudna rada w tak drażliwym położeniu. Pani konsyliarzowa była między młotem i kowadłem, syna naturalnie ani myślała potępiać, siostrzenicy żal jej było także. Nie widziała innego wyjścia, jak zostawić ją w spokoju w jej panieńskim pokoiku, odwlec na jakie tydzień wyjazd ze Lwowa, i napisać do pana Józefa, by przybywał.

Gwałtowne wstrząśnienia wywierają czasem cudowne skutki. Siódmego dnia na spotkanie pana Józefa, u którego w ciemnych pierwej włosach, srebrne teraz świeciły, a na czole gładkim dotąd wystąpiło bruzd parę, wyszła Lola blada jeszcze, ale już spokojna, zatrzymała się na pół pokoju, a patrząc mu w oczy, rzekła wzruszonym mocno głosem:

— Czy dobroć twoja wzniesie się do tego stopnia, iż mi przebaczysz?

— Przebaczam! — zawołał i wyciągnął do niej ramiona.

Lola rzuciła się mężowi w objęcia i głowę przytuliła mu do piersi.

Pan Józef miał uczucie matki, tulące i dziecię, które bawiąc się ogniem, oparzyło się mocno, żal mu jej było i rad był nauce.

Pani konsyliarzowa wyprawiając nazajutrz Lolę z mężem na kolej, szepnęła jej: Ta to sama dobroć, która cię „zabijała,“ podnosi cię teraz na nowo do godności żony!

Strzałki 31. października 1877 r.

STUDYA ESTETYCZNE.

przez

WOJCIECHA DZIEDUSZYCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Chrystusy i święci Werończyka wyglądają po pańsku, i z wenecka mimo stroju klasycznego, i te obrazy wszystkie poświęcają prawdopodobieństwo na to, by nie mistyczne ale salonowe, rycerskie i błyskotliwe, choć dziwne jakieś i nadprzyrodzone sceny zdziwionemu oku widza przedstawić. To samo da się powiedzieć o najświetniejszych rzeczach, które kiedykolwiek wyszły z pod pęzla Werończyka, o ogromnych owalnych płótnach w *San Sebastiano.* Mają to być jakieś sceny męczeńskie, ale nikt pono się tego nie domyśli, patrząc na ten tłum postaci świetnie przystrojonych, pańskich i lśniących, wśród świetnych pałaców. Pierwsze wrażenie, które te obrazy wywołują, i jedyne wrażenie trwałe, jest to upojenie barwą i słońcem, nie barwą umiejętnie ułożoną jak u Tycyana, ale barwą pstrą i migotliwą co tworzy różnorodne wielkie plamy, rozpościerając się po jedwabiach upojonych słońcem. Nie są to już spokojne akordy klasycznej muzyki, jedno szalone i hałaśliwe brawury, w których się różnorodne tony na głośną i bezmyślną, ale świetną harmonię składają pod dotknięciem nieprzewyższonego wirtuoza. Dopiero gdy się już przyzwyczaisz do owej barw świetności, rozróżnisz myśl, i poznasz jak z pańska myśl tę wykonano.

Ograniczymy się na męczeństwie świętych Marka i Marcelina i na tym tylko obrazie rozpatrzymy się w kompozycyi lśniącej od barw. Odkryjemy tedy wśród stłoczonego tłumu rycerza, wielkiego pana od stóp do głów, co z natchnionych gestem, niosąc śmiało sztandar pułku, w migocącym pancerzu idzie na plac męki piękny, młody, silny, wygląda jakby jakiś książę co swoje zastępy nie na śmierć ale do zwycięstwa wiedzie. I idą za nim towarzysze, a tłum rozstawiony wśród marmurowych pałaców dziwi się widokowi. Żebrak jakiś z obwiązaną nogą, siadłszy na gzymsie pałacowym patrzy na wszystko całkiem obojętnie, a dwu malców na pół ukrytych przez kolumny bawi się z małpą.

Tak by wyglądać mogło i wtedy gdy wódz

ze zwycięskiem wojskiem w tryumfie do stolicy wraca. Ale na pierwszym planie widać postacie, które dramatycznego interesu sprawie dodadzą. Senatora weneckiego, starca przyobleczonego we wspaniały, czerwony i żółty płaszcz, prowadzą na przeciw rycerza. To ojciec świętego Maurycego, siwobrody, piękny lubo już łysy, jedna z tych głów starców co świadczą o silnej i męskiej przeszłości. Starzec o własnych już siłach chodzić nie może, ale dał się wyprowadzić przez służbę na ulicę, i tłum z poważaniem rozstępuje się przed nim. Troskę ma na czole i błagalnie rozwarłszy ramiona błaga syna, by się dla mrzonki nie gubił, by Jowiszowi chciał ponieść ofiarę, by starości ojca nie osierocił.

Z drugiej strony może pięćdziesięcioletnia matka przystrojona w zieloną złotem haftowaną suknię, niecierpliwie, i z gniewem prawie narzeka na syna, podczas gdy się biała lewreta do jej stóp garnie. Ale kto spojrzy w twarz rycerską świętego, ten wie że go narzekania rodziców z drogi obowiązku nie sprowadzą.

Jest to tedy scena wzniosła, dramatyczna i prawdziwa, w której Weroneze okazał cnotę co się jawi na ziemi, wśród społeczeństwa pomyślanego na sposób wenecki, ale świetniejszego jeszcze, i wśród sfer powołanych do szczęścia i panowania. Młodzieniec, któremu się wszystko na ziemi uśmiecha, przekłada nadewszystko prawdę i wiarę. Obraz ten pokazuje widzowi blask, świetność i szczęście, miłe dla oka i umysłu, i cnotę wyższą nad blask, świetność i szczęście, rzecz pewno największego podziwu godną.

Ale rzadko uderzy Werończyk o tak rycerską stronę, zwykle dość mu na tem, gdy wykwintny świat w pełnym blasku widzowi okaże. W tym to celu malował uczty mnogie, biorąc do tego niby asumpt w piśmie świętem. Taką jest uczta w domu Leviégo w akademii sztuk pięknych. Najpierw architekturę nie wenecką już, ale z rzymska klasyczną odtworzono tu z dziwnem mistrzowstwem. Obraz przez dwie pary białych koryncklch kolumn na trzy części podzielony, a Chrystus w tradycyjnej szacie zasiada pośrodku wśród otoczenia strojnych Wenecyan i strojniejszych Wenecyanek. Za nim rozciąga się widok na jakieś cudne miasto. O Chrystusa tu wcale nie chodziło, i na niego najmniej się zwraca uwagę; za to stroje są przepyszne, układ bardzo widny i jasny, a pojedyńcze głowy pańskie i godne. Przed jedną kolumną stanął przedziwnie malowany wenecki panicz w zielonym opiętym stroju, z wyciągniętą ręką. To sam Levi, który wydaje rozkazy. Pod inną kolumną stoi paź, ktory się uczcie ciekawie przypatruje, a nie brak murzynów, małp i lewretek. Przytem perspektywa tak ułudna, że z drugiego pokoju nie możesz wierzyć, by to wszystko malowanem tylko było.

Wesele w Kanie, w Luwrze, jedyny po za Wenecyą znajdujący się obraz Werończyka, który się większą chwałą cieszy, jest o wiele słabszym utworem. Postacie nieumiejętnie ugrupowane, siedzą poprostu dokoła kilku wielkich stołów w nieprzejrzanym tłumie. Perspektywa umyślnie wadliwa, aby można rozróżnić rysy dalej siedzących osób, i wszystko można chyba nazwać kolosalnym zbiorem portretów średniej wartości. Obraz ten sławny dlatego tylko że jest w Paryżu.

Najsławniejszem jednak Porwanie Europy w pałacu Dożów, cenione przez Wenecyan niemal na równi z Wniebowzięciem Tycyana a zdobiące jedną ścianę z „Podróżą Jakuba“ Bassana. Tu Werończyk odetchnął tchem gajów i wód tak pełną piersią, jak żaden malarz włoski, czy to przed nim, czy po nim. I może i na północy nie oddano nigdy tak cudnie wiosny.

Wielkie ciemnozielone włoskie dęby, rosną na zielonej łące nad morzem, i przepuszczają przez swe liście i konary wielkie płachty złotego światła słonecznego, a w głębi roztacza się błękitne nieskończone morze pod równie błękitnem niebem. Tysiąc miłych wspomnień garnie się do ciebie gdy patrzysz na to malowanie natchnione przez opis starego powieściopisarza Tacyusza, prawiącego właśnie o takimże obrazie. Czujesz miłe, orzeźwiające tchnienie słonecznej wiosny, słyszysz szelest liści, brzęk owadów, mruczenie fali, wyobraźnia wskrzesza cielesne rozkosze, i rad byś po kąpieli, nago jak Grek jaki legł na murawie i upajał się naturą.

I nie naturą tylko bezduszną, bo jest tu w gaju niezrównanie pięknych dziewic orszak. Jakieś niebianki tu przybywają, z napoły obnażonemi piersiami, ze strojnemi szatami, z uśmiechem na twarzy, cudnie piękne, białe, pulchne i rumiane. Jedna, najpiękniejsza i widocznie ich królowa: Europa, siadła na przepysznego byka co legł na murawie. Upojona wiosną ma oko pełne rozkosznej uciechy, a byk srokaty, biały i bronzowy, dziwnie czule jej stopy liże. U góry, wśród gałęzi igrają latając dwa nagie kupidynki, a jedna z dziewic orszaku Europy śmiejąc się wyciąga do nich ramiona.

Taka to grupa napełnia pierwszy plan obrazu i uprzytomnia pierwszą scenę znanej mitologicznej opowieści. W głębi, daleko, widać dalsze dzieje Europy. Najpierw zaniesiona przez byka na nadbrzeżne mielizny morza, igra tam z kupidynkami, a potem w dali woła o ratunek samotna już, gdy się byk wraz z nią wpław przez morze puścił.

Niech to rozkoszne i z lekka zmysłowe malowanie będzie dla nas ostatnim uśmiechem weneckiego odrodzenia. Z Werończykiem zmarło ono i ustąpiło przed barokiem, co się i w malarstwie rozgościło, zanim w budownictwie zawitało i w chwili, w której już zapanowało nad rzeźbą. Po Sansovinie Campana rzeźbił był w Wenecyi postacie godne ze spiżu, z których najpiękniejsza Bóg Ojciec w San Giorgio Maggiore przypomina florentyńskie odrodzenie. Ale niedługo potem nakrył Alessandro Vittoria jedną z sieni pałacu Dożów mnóstwem figur słabo afektowanych i szczerze baroko. To też Palma młodszy podniósł i w malarstwie sztandar konwencyonalnej komedyi u przełomu szesnastego i siedmnastego wieku. Syn ów starszego artysty tegoż imienia doprowadził salonowość do najdalszych granic w utworach, w których szedł w ślady Werończyka, a czułą sentymentalność rozlał na płótno, w których raczej Tintoretta naśladował. Położył bo sobie był za zadanie złączenia zalet jednego i drugiego. Chciał malować postacie równie wykwintne jak Werończyk, a równie śmiało skrócone jak u Tintoretta; chciał barwność jednego z klasycznemi draperyami drugiego połączyć i chciał przewyższyć salonową ogładę Pawła Cagliari, zachowując chronologiczną wierność Jakóba Babusti. (C. d. n.)

WRAŻENIA Z PODRÓŻY NA WSCHÓD

przez

J. z T. T-R.

*(Ciąg dalszy *).*

II.

Jerozolima.

Po męczącej parogodzinnej podróży z utęsknieniem oczekiwaliśmy chwili popasu, na który stanęliśmy wreszcie około 11tej godziny, w lichym Bulaku czyli karczmie, u samego podnóża pasma gór Judei. Po jednej stronie drogi piątrowy domek zbudowany z surowego kamienia, więcej ruinę starożytną, niż zajazd dla gości przypominający; po przeciwnej, rodzaj szałasu, był mieszkaniem właściciela. Na stokach gór muły, konie, wielbłądy i ich właściciele, zmięszani razem pokrzepiali się ochoczo rozłożeni na murawie. Czas był prześliczny... I my więc za przykładem krajowców, rozłożyliśmy się pod cieniem drzewa oliwnego i rozpakowaliśmy zapasy żywności. Przysunął się i ów pielgrzym Polak, którego w Ramleh, wybawiliśmy z kłopotu, pożywił się z nami, usługiwał, pudełka z sardynkami odbijał, wodę przynosił, co nam tem wygodniejszy popas uczyniło. Mały chłopak z Batuku kręcił się koło nas, podając kawę czarną i jaja i zdradził niechcący, że ojciec jego a gospodarz tego zajazdu jest żydem z Warszawy; obaj umieli wcale nie źle po polsku, ale ściśle trzymali się germańskiej mowy! Niemcy pewnie ani się spodziewają, że u stóp gór Judei mają taki wierny zastęp swojego kulturtregerstwa...

Po dwugodzinnym wypoczynku, który jedną chwilą nam się wydawał, poczęliśmy się w dalszą wybierać drogę. Należało nam dobrze wzmocnić siły, bo odtąd rozpoczyna się trud największy: spinanie się po górach i stromych kamieniach tak, iż w niejednem miejscu wygodniej iść pieszo, niż posługiwać się czworonożnemi. Odtąd też prawie ciągle spotyka się liczne karawany, osły obładowane pomarańczami lub kamieniami, wielbłądy objuczone drzewem, materyałem budulcowym, długiemi belkami zwieszającemi się po obóch stronach zwierzęcia i tp. To też niebezpiecznie spotkać się z takim transportem, gdyż na wypadek gdyby zwierzę choć na chwilę zboczyło jednym krokiem z obranej ścieżki, nieohybnie podróżującego z przeciwnej strony śmierć na miejscu spotkać by mogła...

W parę godzin spostrzega się rozrzucone po górach uprawne kawałki ziemi; można by je ogródkami nazwać, bo każdy z nich ogrodzony jest starannie i utrzymany pieczołowicie; są to kolonie niemieckie! Wirtembergczycy wciskają się i w tą dziką okolicę i motykami kamyczek za kamyczkiem wyciągają z ziemi, kopią, zasiewają, a nie mogąc od razu większej przestrzeni uprawić, później dopiero łączą swe ogródki w jedną całość; zbliżając się coraz to szybciej do Jerozolimy! Znajdziesz tam już i lasy pozakładane, i domki w guście szwajcarskim z galeryjkami i werandami porozrzucane malowniczo, a muszą się tu czuć wygodnie zagnieżdżeni, skoro w samej Jerozolimie mają już własne gimnazyum i nauczyciela Sasa z Drezna... Oto właśnie całe rodziny wychodzą na jego powitanie, bo dziś mistrz ma przybyć, więc wszyscy w świątecznych strojach pieszo i na osłach, otoczeni gromadką dzieci spieszą spotkać tego, który ma w tej pustyni stać

*) Patrz Nr. 46.

się źródłem światła i krynicą wiedzy. Jakże ten widok powinien być dla nas nauczającym przykładem.

O czwartej z południa ujrzeliśmy Jerozolimę!... Szukałam jej od dawna wzrokiem w dolinie i dziwne wzruszenie opanowało mię na widok tej kolebki chrześciańskiego świata. Z niewdzięcznej co do widoku strony wjeżdżaliśmy na jej przedmieście; o wiele wspanialej przedstawiać się ma ze strony Nazaretu, gdy z Góry Oliwnej spuszcza się wędrowiec w dolinę Jozafata. Z bojaźnią w sercu zbliżałam się do Jeruzalem... lecz po krótkiej chwili wzruszenia, przykre opanowało mię rozczarowanie.

Jeruzalem, dziś jest miastem, w którem potrzeba sobie aż wyobrazić rzeczywistość istnienia tu miejsc pamiątkowych; z wielką krzywdą dla uczucia, bo nic tu na pierwszy rzut oka nie przypomina, ani jej dziejowej wielkości, ani religijnego znaczenia. Jerozolimy takiej jaką była za czasów Chrystusa nie ma zupełnie... nowe miasto o kilka sążni wyżej, wznosi się na gruzach dawnej metropolii świata... Góra Golgota, na której ukrzyżowano Chrystusa, grób święty, stacye, ujęte są w ramy kościoła, u którego wrót, siedzą na straży Turcy z fajkami, popijając kawę, utrzymując porządek między kłucącymi się ciągle o przewagę panowania nad grobem Chrystusa: Grekami, Łacinnikami i Ormianami...

Doradzono nam wziąć kwaterę w *Casa-nowa,* (klasztor Franciszkanów) i pewnie bylibyśmy się tam instalowali, gdyby nie rada jakiegoś orderowego pana, który nam wskazał hotel Méditerrani w pobliżu bramy Jaffskiej położony. Minąwszy więc tę od starości poczerniałą bramę, jedną z siedmiu w murach otaczających Jerozolimę, z radością ujrzałam się wreszcie na miejscu spoczynku. Jak zwykle, poprzedził targ o cenę pokoju z utrzymaniem na dobę od osoby: skwapliwie dopytywał się gospodarz o ilość przybywających gości; nie robiliśmy mu w tym względzie wielkich nadziei, co znacznie wpłynęło na skromniejsze wynagrodzenie, jakiego od nas zażądał.

Ulokowawszy się w hotelu zaraz posłaliśmy z biletem do księdza Bielaka, dla którego wręczył nam pan Cypryan Kuczewski książkę od niego wypożyczoną; ksiądz Bielak stęskniony za rodakiem natychmiast przyszedł i obiecał oprowadzić nas nazajutrz po wszystkich ważniejszych miejscach Jerozolimy.

Pierwsze kroki skierowaliśmy do grobu świętego, lecz przybywszy tam, zastaliśmy drzwi zamknięte... Turcy bowiem otwierają kościół w pewnych tylko godzinach, tak, że kto chce być na rannem naprzykład nabożeństwie i spowiadać się, musi nocować w kościele w celkach ku temu przeznaczonych. O 7mej zadzwoniono na obiad, a przy wspólnym stole zastaliśmy tego samego jegomości w orderach, który nam hotel wskazał. Jakeśmy się dowiedzieli, był to konsul hiszpański.

Reszta towarzystwa składała się z Anglików a na ich czele honsul Stanów Zjednoczonych z żoną i siostrą; dalej konsul niemiecki i kilku urzędników Arabów, a wszyscy prowadzili nieustającą konwersacyę przy stole. Ponieważ były to ostatki karnawału, więc całe towarzystwo upominało się u gospodarza o *pączki*, gdyż te jedynie przypominały mu europejskie zapusty; wśród panującej w całem mieście ciszy, nieprzerywanej ani balem ani żadnem widowiskiem.

Nazajutrz rano obudził mię gwar targowy. Mały plac przed hotelem pełen był owoców, jarzyn, karafiołów, pieczywa i ryb, które natychmiast na oliwie smażą i spożywają, a wszystkiemu towarzyszył zwykły na południu i wschodzie hałas i wrzawa. Z terasy na przeciwnej stronie hotelu będącej, widać wśród domostw kopułę grobu świętego, a opodal górę Oliwną. Opuściwszy mieszkanie udaliśmy się do Casa-nowa w myśli przeniesienia się tam. W klasztorze, znaleźliśmy piękne i obszerne zabudowania, pokoje dla pielgrzymów, wygodnie urządzone, nadto uprzejmego i gościnnego przełożonego, co wszystko byłoby niezmiernie zachęcającem, gdyby nie te kraty, zimne korytarze i brak wolnego oddechu, co wszystko razem zebrane, podziałało na mnie tak silnie, że może pierwszy raz w życiu oparłam się stanowczo zamknięciu, choć chwilowemu, w murach klasztornych. W towarzystwie ks. Bielaka, zwiedziliśmy tylko sam kościół, na każdym kroku korzystając z jego światłych objaśnień, tak pod względem religijnego jak i historycznego znaczenia tych murów.

W towarzystwie też tego kapłana, udaliśmy się do grobu Chrystusa. Na wstępie w zakrystyi, obdarzono nas woskowemi świecami do obejścia stacyi świętych i pokazano nam miecz *Gotfryda de Bouillon* tu ze czcią przechowywany. Kościół jest zawsze rzęsisto oświecony, gdyż światła dziennego nie posiada prawie; prosto drzwi wchodowych, leży w pośrodku płyta kamienna, na której Józef Nikodem z Arymatei ciało Chrystusa namaszczał. Na lewo pod oszkloną kopułą kościoła, mieści się drugi kościółek lub kaplica, oparta na kilkunastu kolumnach, w której w długim na stóp siedm korytarzyku znajduje się grób Zbawiciela. Na klęczkach, przez niski utwor można się wsunąć do środka, olśniewającego od lamp gorejących, gdzie kapłan grecki stojący na straży, skrapia każdego wodą różaną... Po lewej stronie od płyty namaszczenia, prowadzą schody na Golgotę, gdzie pokazują miejsce ukrzyżowania Chrystusa i dwóch jego towarzyszów złoczyńców: zaraz w pobliżu miejsce, gdzie z rozkazu *cesarzowej Heleny* szukano i wynaleziono krzyż Chrystusa; naprzeciw krużganek zkąd cesarzowa modląc się przypatrywała się odkopywaniu drzewa świętego, dalej pęknięcie w skale w chwili, gdy Jezus ducha wyzionął i tak postępując coraz nowe napotyka się pamiątki, jako to: miejsce, na którem Chrystus ukazał się Magdalenie, gdzie matkę omdlewającą pocieszał, kaplica gdzie się szatami Chrystusa dzielono i wiele innych, do których przywiązane są łaski i odpusty. Codziennie po południu odbywa się procesya ze spiewami, w której uczestniczyliśmy parę razy, wśród licznej rzeszy pielgrzymów przeważnie słowiańskich... Rozmawialiśmy z Bułgarkami, które z nabożnym zapałem opowiadały nam rozmaite legendy i podania, a choć rozgraniczeni od siebie szerokim Dunajem, rozumieliśmy się nawzajem, tak ich język zbliżony jest do polskiego...

Kościół z przepychem urządzony a nadewszystko kaplice należące do wyznania greckiego, lśnią od złota, srebra i żywych kolorów. Na placu przed kościołem przedają rozmaite koronki i różańce z oliwnych ziarek, różane, medaliony i broszki z perłowej macicy misternie wyrzeźbione sceny święte, róże jerychońskie, które włożone do wody nabierają życia, obrazki, świece i tp., wprawdzie ceny tych drobiazgów są aż nazbyt wygórowane, ale któż zdolny oprzeć się pokusie i nie zaopatrzyć się w pamiątki z miejsc tak odległych a tak uświęconych. (C. d. n.)

Król Długouch I.

(Z HEINEGO.)

Był obiór króla; że osły w tłumie
Były w większości — to się rozumie.
A zatem wybór na osła pada,
Dalej kronika tak opowiada:

Osioł w koronie sobie wystawia,
Że jest lwem, minę przybiera pawia,
Natychmiast skórę od lwa pożyczy,
Wciąga na siebie i dziko ryczy.
Z końmi się tylko obchodził miło.
To starych osłów mocno gorszyło;
A gdy ujrzeli ze sto tysięcy
Buldogów w armii, szemrali więcej.
Wreszcie gdy osioł kanclerzem woła
Mianował, śmiało podnieśli czoła
I zagrozili mu rewolucyą.
Słyszy to osioł, więc z rezolucyą
Wciska koronę, chwyta lwią skórę,
Wiesza przez plecy, łeb wznosi w górę,
I malkontentów, odgłosem dzwonu
Nagromadzonych u stopni tronu,
Następującą przemową darzy:

„Wielmożne osły! młodzi i starzy!
Może sądzicie żem jak wy — osłem?
Nie, ja lwem jestem, na lwa urosłem
To mi frejlina i pokojówka
Mówi, dwór cały, więc ani słówka.
Sławny poeta, w swej wiekopomnie
Wspaniałej odzie, tak mówi do mnie:
„Jak przyrodzone są wielbłądowi
Garby na plecach, tak i królowi
Wspaniałomyślność jest przyrodzona.
Niech więc kto żyje, cierpi, czy kona,
Ciebie o królu! i czci i słucha.
Twe serce nie ma długiego ucha"
Piękniejsza strofa rzadko się zdarza;
Mój dwor ją cały sobie powtarza.
Tu mnie kochają, tu dumne pawie
Spieszą bym na nich spojrzał łaskawie.
Podnoszę sztukę; mówiąc nawiasem,
Augustem jestem i Mecenasem.
Mam dworski teatr, bierze moc złota;
Do ról kochanków posiadam kota,
Do bohaterek — wesołą lalkę,
Kotkę — przepyszna gdy gra westalkę.
Do tego razem złożywszy w kupę
Dwadzieścia mopsów — mam dzielną trupę.
Malarstwo u mnie ma akademię;
Genialne małpy biorą tam premie,
I właśnie prosić mam profesora,
Pana Bazgrotę, na dyrektora.
Zjedzie z Hamburga i tu osiędzie.
I mój też portret malować będzie.
Mam i operę, balet wesoły,
Gdzie rozebrane, niby anioły,
Rozkoszne ptaszki mi przyśpiewują.
Pełne talentu pchły podskakują,
A kapelmistrzem mam milionera
Muzykalnego Meyerbeera.
Ten Bären-Meyer właśnie kantaty
Pisze mi na ślub — za dwa dukaty...
Ja sam pracuję, i tem się szczycę,
Jak Frydryk wielki, nieco w muzyce.
On dął na flecie, ja trącam w lutnię;
O! i nie jedno wzdycha okrutnie
Do mnie serduszko, wzdycha zawzięcie,
Gdy sobie brzdąkam na instrumencie.
Ach! z instrumentem skoro mnie zoczy
Przyszła królowa — chyba podskoczy,
Ona jest zacną, pełnej krwi klaczą,
Nie wierzą nawet gdy ją kulbaczą;
A jej wujaszkiem nie jest hołota,
Ale Rossynant od Don Kiszota.
Jej rodowody mówią, że w łonie
Ma krew Bayarda, co po Heymonie.
Nadto zalicza między przodkami
Aż trzech ogierów, co z krzyżowcami,
Z Gotfrydem Bouillon, zbijały pięty,
Gdy ten zdobywał przybytek święty.
Co do piękności — jest gwiazdą żywą;
Kiedy wspaniale potrząsa grzywą,

Lub gdy jej nozdrze parska różowe,
Ginę z rozkoszy i tracę głowę.
Słowem jest klaczą dobrego tonu.
Ona mi zrodzi następcę tronu;
Przez takie związki, przez taką żonę,
Tron i dynastya — zabezpieczone,
I moje imię już nie zaginie.
Będzie wyryte na pergaminie
I wielka Klio zaznaczy o mnie:
Żem miał lwie serce i że niezłomnie
Rządziłem krajem, bez swarów, kłótni,
Że byłem wielkim, żem grał na lutni."

Tutaj król wierzgnąć raczył wspaniale,
Ryknął i rzecz swą prowadził dalej:

„Wielmożne osły! młodzi i starzy!
Dotąd dłoń moja łaską was darzy,
Dokąd jesteście tej łaski godni.
Możecie sobie być biedni, głodni,
Brać grosz na lichwę, sprzedać manatki...
Byleście nieśli na czas podatki.
Na to nastaję; a miejcie w głowie,
Że tak czynili wasi ojcowie;
Ach! sławne osły! z ojca na syna!
Nieśli cierpliwie worki do młyna,
Jak im religia nakazywała.
Ani im w głowach myśl nie powstała,
Że są tam jakieś, gdzieś konstytucye,
Manifestacye i rewolucye.
Nikt nie usłyszał z ich ust mruczenia;
Potulnie, cicho, z przyzwyczajenia,
Stały u żłobu i siano jadły.
O! dobre czasy! gdzieście przepadły!
Osły! jesteście i dziś osłami!
Lecz dawne cnoty nie goszczą z wami.
Każdy z was krnąbrnie ogonem ciska,
Zarozumiałość z oczu wam błyska,
Błazeńskie miny wasze, świat cały,
Żeście osłami, już przekonały.
Wbrew waszej oślej, potulnej minie,
Nieuczciwością każdy z was słynie.
Byle się dotknąć do waszej krtani,
Wrzask podnosicie, jak opętani.
Przebrzydłe osły! chcecie kaleczyć!
Umiecie tylko skrzeczyć i beczyć.
Złość bezrozumna! czysta głupota!
Bezsilna wściekłość! nędzna hołota!
Te wasze wrzaski wskazują jasno
Jak wszelkie cnoty w pośród was gasną,
Jak pomiatacie dawnemi bogi,
Jakie nikczemne macie nałogi.
Jaka trucizna, żółć, nawet zdrada
Pod oślą skórą dzisiaj osiada."

Tutaj król wierzgnąć raczył wspaniale
Ryknął i rzecz swą prowadził dalej:

„Wielmożne osły! młodzi i starzy!
Widzicie! znam was. Dłoń mi aż parzy!
Najmiłościwiej jestem zgniewany!
Żeście bezwstydnie, śmieli, bałwany,
Z moich postępków wyciągać wnioski,
Poddać krytyce mój rząd ojcowski.
Któż to z oślego punktu widzenia
Lwią politykę kiedy ocenia?
Strzeżcie się! w kraju rośnie brzezina,
I bardzo mocna, zdatna dębina
Na szubienice oraz na kije,
Co wam do tego, za co was biję?
Z serca wam radzę, rzućcie poglądy
Na moje sądy, na moje rządy...
Osły! ja szczerym pragnę być z wami,
Radzę wam trzymać język zębami.
Rezonującym, za czcze przechwałki
Zaaplikować rozkażę pałki;
Potem do turmy — niechaj tam kisną.
A o rozruchach, tych co mi pisną
Mam zwyczaj wieszać. Ot co wam osły
Pragnąłem wrazić w mózg domorosły.
Bądźcie więc cicho! Strzeżcie się gromu!
Teraz możecie ruszać do domu."

Gdy tak poznały o co rzecz chodzi,
Osły, z radości, starzy i młodzi,
Ryknęły chórem I.. a., I.. a...
Niech żyje król nasz! Vivat! hura!..

M. Rodoć.

KARTKA MIŁOŚCI.

POWIEŚĆ

EMILA ZOLI.

Spolszczyła

WINCENTA LIMANOWSKA.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

(Ciąg dalszy).

V.

Oba okna pokoju były otwarte. U stóp domu, zbudowanego na stromej wyżynie, rozciągała się ogromna płaszczyzna, a na niej rozsiadł się Paryż. Dziesiąta godzina wybiła; piękny, łagodny poranek przyniósł z sobą zapach wiosny.

Helena leżąc na kanapie z nogą obandażowaną, czytała przed jednem z okien. Nie bolało już ją nic, ale od dni ośmiu przykuta do jednego miejsca, nie mogła zajmować się nawet szyciem, do którego była nawykła. Nie wiedząc co robić, otworzyła książkę, co się oddawna walała po stole i zaczęła ją czytać, ona, co nigdy nie czytała. Była to książka, która co wieczór służyła jej do zasłaniania lampki nocnej; w ciągu ośmnastu miesięcy ją jedną wyjęła z małej biblioteczki, którą pan Rambaud zapełnił uczciwemi dziełkami. Wszystkie powieści wydawały się jej zawsze fałszywe i śmieszne. Ta, którą teraz czytała, Ivanho'e Walter-Scott'a, bardzo ją nudziła z początku. Potem, szczególna ciekawość ją zdjęła. Kończyła ją, czasem rozczulona, czasem zmęczona, a wówczas upuszczała ją z rąk i długo, nieruchomie wpatrywała się w obszerny widnokrąg.

Tego rana Paryż uśmiechnięty i senny jeszcze, leniwie się budził do życia. Para, unosząca się nad doliną Sekwany, przykryła oba jej brzegi. Była to leciutka mgła, jak gdyby mleczna; słońce, które powoli wznosiło się w górę, oświecało ją. Pod tą ruchomą zasłoną z muślinu, trudno było dopatrzyć Paryża. W miejscach wklęsłych zgęszczony ten obłok zabarwiał się odcieniem niebieskawym; na większych obszarach przerzedzał się i zamieniał w delikatny, złocisty kurz, pod którym można się było domyślić zagłębienia ulic. A powyżej, kopuły i szczyty wież, rozdzierały obłok i wybiegały w górę, unosząc na sobie kawały mgły, którą przedziurawiły. Chwilami, kłęby żółtego dymu, oderwane ciężkiem uderzeniem skrzydeł olbrzymiego ptaka, unosiły się w powietrzu i po chwili znikały — powietrze połknęło je. A po nad tym ogromem, po nad tym obłokiem, co zawisł nad Paryżem i usnął, niebo czyste, blado-niebieskie, prawie białe, rozciągało bezdenne sklepienie swoje. Słońce podnosiło się coraz wyżej wśród złocistej kurzawy promieni swoich.

Światło bladawe, łagodne, tą nieokreśloną łagodnością dzieciństwa, zalewało przestrzeń i napełniało ją swem ciepłem drganiem. Uroczyste święto, najwyższy spokój i jakaś rzewna wesołość panowała w krainie nieskończoności, podczas kiedy miasto, najeżone złocistemi wieżyczkami, leniwe i senne, wzdrygało się ukazać z pod koronkowej zasłony swej.

Od ośmiu dni, jedyną rozrywkę Heleny stanowił ów olbrzymi widok Paryża. Nie mogła się nim nasycić. Niezgłębiony i zmienny jak Ocean, rano łagodny, potulny, wieczorem namiętny, zapalony, podzielał wesele i smutek niebios, które się w nim odbijały. Słońce rzuciło mu jeden snop promieni swych — on potoczył fale złota; chmura zawisła nad nim — zasępił się także i zawrzał burzą. A wciąż się zmieniał: były tam cisze zupełne, jak na morzu; były wichry, co ponad głową jego zasuwały dach ciemny chmur ołowianych; były dnie jasne, wesołe, co na szczycie każdego dachu zapalały światełko; były ulewy, w których niebo i ziemia tonęły i widnokrąg znikał wśród tego chaosu. Helena doświadczała kolejno uniesień nadziei lub rozpaczy, jakby na pełnem morzu; zdawało się jej nawet, że uczuwa na twarzy jego powiew silny i gorzki zapach; nieprzerwany huk miasta sprawiał złudzenie podnoszących się bałwanów, bijących o skały wybrzeża.

Książka wymknęła się z rąk Heleny. Marzyła.

Przerywała czytanie, bo czuła potrzebę zatrzymania się, potrzebę zrozumienia i oczekiwania. Czuła przyjemność w tem, że nie zaraz zaspokoi ciekawość swą. Opowiadanie wzruszało ją, a to wzruszenie ją przygniatało. Paryż, właśnie tego poranku, okazywał radość i jakiś nieokreślony niepokój, który we własnem czuła sercu. Urok to był wielki, nie wiedzieć, na wpół odgadywać, dać się powoli wtajemniczać, a zarazem mieć to niewyraźne uczucie, że pierwsza młodość uraża.

Jakże te romanse kłamały! Miała słuszność, że ich nigdy nie czytała. Dobre to były bajeczki dla pustych głów, nie mających pojęcia o rzeczywistem życiu. A jednak czuła się porwaną opowiadaniem; nieprzezwyciężoną siłą myśl jej zwracała się ciągle do rycerza Iwanhoe, którego tak namiętnie kochały dwie kobiety: Rebeka, piękna żydówka, i szlachetna lady, Rowena. Zdawało się jej, że ona także kochałaby z dumą i cierpliwym spokojem tej ostatniej. Kochać, kochać! i wyraz ten, którego nie wymawiała, a który sam drgał w niej, zadziwiał ją i wywoływał uśmiech na usta. Wysoko białe płatki obłoczków, unoszone wiatrem, pływały po nad Paryżem, jakby stado łabędzi. Ogromne przestrzenie mgły przesuwały się z miejsca na miejsce; na chwilę ukazał się lewy brzeg, drżący i przysłonięty, jak gdyby zaczarowane miasto, ujrzane we śnie; ale masa pary zwaliła się nań, i miasto zalane zniknęło. Teraz mgła rozciągnęła się nad wszystkiemi stronami miasta i zaokrągliła w piękne jeziora o wodach białych i gładkich. Gęsta tylko smuga, tworząca linię krzywą, szarą, wskazywała bieg Sekwany. Po tych wodach białych, tak spokojnych, przesuwały się cienie, jak gdyby okręty o różowych żaglach; młoda kobieta rozmarzonym wzrokiem goniła za niemi. Kochać, kochać! i uśmiechała się do marzenia swego, które się kołysało na tych wodach.

Znowu wzięła książkę do ręki. Stanęła była na ustępie, który opisywał napad na zamek, kiedy Rebeka pielęgnuje rannego Iwanhoe i rozpowiada mu o bitwie, na którą patrzy przez okno. Wiedziała, że to piękne zmyślenie, myśl jej krążyła po tem wszystkiem, jak po idealnym ogrodzie, o złotych owocach, gdzie żyła samem złudzeniem tylko. Potem, pod koniec sceny, kiedy Rebeka, obwinięta zasłoną swą, wynurza swe uczucia przy uspionym rycerzu, Helena znowu upuściła książkę; takie wzruszenie opanowało ją, że nie mogła czytać dalej.

Mój Boże! czyżby to wszystko miało być prawdą? I leżąc na kanapie, zmęczona przymusową bezwładnością, z uczuciem odrętwienia, patrzyła na przysłonięty tajemniczy Paryż, któremu

przyświecało blade słońce. Wyobraźnia pobudzona czytaniem romansu, przywiodła jej na pamięć własne jej życie. Ujrzała się młodą dziewczyną w Marsylii u swego ojca, kapelusznika Mouret'a. Ulica Petites-Maries była czarna, a dom, ze swym kotłem wody wrzącej do wyrobu kapeluszy, wydawał, nawet w dnie pogodne, mdły zapach wilgoci. Widziała też matkę swą, zawsze słabą; całowała ją blademi ustami swemi, nigdy nic nie mówiąc. Nigdy, żaden promień słońca nie przedarł się do jej dziecinnego pokoju. Widziała, jak wiele pracowano dokoła niej, i z jaką ciężkością zdobywano sobie bardzo mierny dostatek robotnika. I to już wszystko; aż do wyjścia za mąż, żaden szczególny wypadek nie zaznaczył całego szeregu dni jednostajnych. Jednego rana, kiedy z matką wracała z rynku, koszem swym, napełnionym jarzynami, potrąciła Grandjean syna. Karol obejrzał się i poszedł za niemi. Cały romans od tego się rozpoczął. Przez trzy miesiące z rzędu spotykała go wszędzie; pokorny i nieśmiały, nie odważył się zbliżyć do niej. Miała wówczas lat szesnaście i pyszniła się trochę tym wielbicielem, który, jak wiedziała, należał do rodziny majętnej. Ale znajdowała go brzydkim, często się z niego śmiała i myśl o nim nie przerywała spokojnego jej snu w wielkim, wilgotnym domu. Potem, pożeniono ich. Małżeństwo to dotąd jeszcze dziwiło ją. Karol ubóstwiał ją, klęczał przed nią i całował jej nogi. Uśmiechała się do niego przyjaźnie i wyrzucała mu, że jest tak dziecinny. I znowu rozpoczęło się życie monotonne. Nie przypominała sobie nic, coby wstrząsnęło ją silnie w ciągu lat dwunastu. Bardzo była spokojna i bardzo szczęśliwa, zatopiona w codziennych kłopotach ubogiego gospodarstwa; nie doświadczała ani gorączki ciała, ani gorączki serca. Karol zawsze całował jej stopy, a ona zawsze była pobłażliwa i macierzyńsko dobra dla niego. Nic więcej. I nagle ujrzała pokój w hotelu Var, zwłoki swego męża, swoją suknię wdowy rozwieszoną na krześle. Płakała tak, jak owego zimnego wieczora, kiedy matka jej umarła. Potem znowu życie powoli płynęło. Od dwóch miesięcy, z córką swą czuła się znowu bardzo szczęśliwa i bardzo spokojna. Mój Boże! i to miało być wszystko? i cóż mówiła ta książka o owej potężnej miłości, co to miała opromieniać życie całe?

Na widnokręgu, na śpiącem jeziorze, długie, drżące koła prześlizgiwały się. Nagle, na wodach powstał jakiś groźny ruch, potem szpary, wreszcie z jednego końca w drugi olbrzymia rozpadlina, zapowiadająca tajanie. Powyżej, słońce, w tryumfalnej koronie promieni swoich, zwycięzko uderzało na mgłę. Powoli, powoli, wielkie jezioro zdawało się wysychać, jak gdyby wpływało gdzieś niewidomym kanałem. Pary matowe przed chwilą, stawały się coraz przejrzystsze i zabarwiały żywemi kolorami tęczy. Cały brzeg lewy był delikatno-niebieski i powoli przechodził w ciemniejszą barwę; w głębi fioletowy od strony ogrodu botanicznego. Na prawym brzegu, okolice Tuileries były blado-różowe, cielistego odcienia, a w stronie Montmartre świeciły się żarem, jak karmin, palący się w złocie; dalej, bardzo daleko, dzielnice robotników przechodziły w ciemniejszy kolor, czerwono-ceglasty, którego jaskrawość powoli, powoli zmniejszała się, przygasała, aż wreszcie zmieniła na szaro-siwy łupek. Miasta nie można było wyróżnić jeszcze; drżące kryjące się pod zasłoną mgły, przypominało owe podmorskie głębiny, którego przy spokojnych wodach oko odgaduje raczej niż widzi głębiny, co mają straszliwe lasy olbrzymich traw, i potwory okropne i szum przerażający. Wody opadały wciąż. Pozostała już z nich tylko przezroczysta zasłona z muślinu; i zasłona ta powoli usuwała się, a Paryż budził się ze snu i coraz wyraźniej ukazywał.

Kochać, kochać! dla czego ten wyraz dźwięczał w myśli jej tak słodko, podczas kiedy okiem goniła topniejącą mgłę? Czyż nie kochała męża swego, którego jak dziecię pielęgnowała? Jak gdyby w odpowiedzi, na to pytanie obudziło się bolesne wspomnienie jej ojca, który w trzy tygodnie po śmierci swej żony powiesił się w pokoju, gdzie suknie jej jeszcze były. Skonał tak, ukrywszy twarz swą w jednej z sukień, otulony odzieniem, w którem było jeszcze jakieś tchnienie tej, którą zawsze ubóstwiał. Tu w marzeniu nastąpiła nagła zmiana i zaczęła myśleć o szczegółach gospodarstwa swego, o rachunkach miesięcznych, które tegoż dnia rano zrobiła z Rozalią i czuła się dumną z porządku swego. Lat z górą trzydzieści przeżyła z najzupełniejszą godnością i stałością. Jednę tylko sprawiedliwość gorąco miłowała. Badając przeszłość swą, nie widziała w niej ani jednej godziny słabości; równym krokiem szła zawsze drogą prostą i gładką. Dalsze dnie będą płynęły tak samo; będzie zawsze szła spokojnie, i noga jej nie potrąci o żadną przeszkodę. I to ją czyniło surową; czuła gniew i pogardę dla tego kłamliwego w powieściach życia, którego bohaterstwo niepokoi serca. Prawdziwem życiem było tylko jej życie, co płynęło wśród tak głębokiego spokoju. Tymczasem nad Paryżem pozostał już tylko wąziutki rąbek drżącej gazowej zasłony, co miała za chwilę ulecieć; nagle rozczulenie opanowało ją. Kochać, kochać! wszystko jej przypominało pieszczotliwy ten wyraz, nawet dumne zadowolenie ze swej godności. Marzenie jej stawało się tak lekkie, że nie myślała już; z oczami wilgotnemi kąpała się w wiośnie.

Powoli ukazał się Paryż. Najlżejszego wietrzyka nie było, miasto powstało, jak gdyby wywołane zaklęciem. Ostatnia zasłona z gazy oderwała się, podniosła i rozpłynęła w powietrzu. Zwycięzkie słońce spoglądało na miasto, na które żaden cień już nie padał. Helena, oparłszy twarz na ręce, spoglądała na to olbrzymie przebudzenie się.

Ogromna dolina bez końca, pokryta gęsto skupionemi zabudowaniami, leżała przed nią. Na pochyłej linii wzgórz piętrzyły się stosy dachów; a po za nimi cała fala domów musiała spływać w załomy gruntu i na pola, których nie było widać. Było to pełne morze, jego nieskończone i niezbadane fale. Paryż rozpościerał się tak szeroko jak niebo. Miasto, ozłocone słońcem porannem, przypominało pole, okryte dojrzałym kłosem; na olbrzymim obrazie była zadziwiająca prostota dwóch barw tylko: blado niebieski koloryt powietrza i złocisty odbłysk dachów. Promienie wiosenne nadawały wszystkiemu dokoła jakiś wdzięk dziecinny. Światło tak było czyste, że najmniejsze szczegóły wyraźnie odróżnić się dawały. Paryż, zamknięty w nierozwikłanym chaosie kamieni swoich, lśnił się jak pod kryształem. Od czasu do czasu jednak pogodę tę jasną i nieruchomą zakłócał powiew jakiś; a wówczas zarysy dalszych okolic stawały się mniej wyraźne i drżały, jak gdyby patrzano na nie przez jakiś niewidomy płomień.

Helena przypatrywała się najprzód okolicom miasta, które szeroko rozłożyły się pod jej oknami, pochyłości Trocadero i wybrzeżom. Musiała się wychylić, chcąc dojrzeć pusty czworokąt pól Marsowych, zamknięty w głębi ciemną linią szkoły wojskowej. Na dole, na obszernym placu i na chodnikach, po obydwóch stronach Sekwany, widziała przechodniów, ruchomą masę czarnych punkcików, rojącą się jak mrowisko; żółte pudło omnibusu rzucało iskrę; wózki i dorożki, przejeżdżające most, wielkością swą przypominały dziecinne zabawki, a delikatne konie podobne były do mechanicznych sztuczek; wzdłuż odarniowanej pochyłości, między innymi przechadzającymi się niańka w fartuszku białym białą plamę rzucała na trawę. Helena podniosła oczy wyżej; tłum drobniał i niknął; powozy nawet wydawały się jak ziarnka piasku; pozostał tylko olbrzymi kadłub miasta, jak gdyby próżnego i opustoszonego, żyjącego tylko tem głuchem drganiem, co je poruszało. Tam, na pierwszym planie, na lewo świeciły się czerwone dachy, wysokie kominy piekarni wojskowej dymiły powoli; z drugiej zaś strony rzeki, pomiędzy placem a polem Marsowem, rysował się klomb wielkich wiązów, których nagie gałęzie i zaokrąglone wierzchołki już zieleniejące wyraźnie widać było. Na środku Sekwana królowała; na szarych nadbrzeżach, które ją z obu stron zamykały, puste beczki, parowe pompy, stojące rzędem wozy nadawały im pozór morskiego portu. Przesuwające się po rzece łodzie podobne były do czarnych ptaków. Sekwana srebrną swą wstęgą dzieliła Paryż na dwoje. Mosty przerzynały ją kolejno; widziane tak z daleka, zdawały się zbliżać do siebie i wznosić jeden nad drugim i tworzyć dziwne wiaduki o kilku piętrach, z arkadami rozmaitego kształtu. Pomiędzy nimi rzeka ukazywała skraj swojej szaty niebieskiej, skraj coraz mniejszy, coraz węższy; a jeszcze wyżej, mosty wydawały się już jak niteczki, przeciągnięte z jednego brzegu na drugi. Złociste wieże Notre-Dame stały jak słupy widnokręgu; a po za niemi rzeka, zabudowania, gąszcze drzew, wszystko się zlewało w jedno, wszystko rozsypywało w słoneczny proch.

Helena zamyślonym, leniwym wzrokiem wodziła dokoła, kiedy Joanna wbiegła wesoło do pokoju.

— Mamo, mamo — zobacz!

Dziecię trzymało wielki pęk żółtych lewkonii. I śmiejąc się rozpowiadała, jak wyśledziła, kiedy Rozalia wracała z kupionymi zapasami i jak przetrząsnęła jej kosz. Stanowiło to największą przyjemność dla niej.

— Zobacz, mamo! To było na spodzie... Zobacz, jak to ślicznie pachnie!

Płowe kwiaty, nakrapiane purpurowo, wydawały mocny zapach, który się rozchodził po całym pokoju. Helena namiętnym ruchem przycisnęła Joannę do piersi; lewkonie opadły na jej kolana. Kochać, kochać! zapewne, że kochała dziecię swoje. Czyż za mało jeszcze było tej wielkiej miłości, która dotąd zapełniała jej życie? Miłość ta powinna była jej wystarczyć; słodyczy, trwałości i spokoju miłości tej nic nie mogło naruszyć. I mocniej przycisnęła córkę do piersi, jak gdyby chcąc usunąć myśli, które groziły rozłączeniem ich. Joanna tymczasem przyjmowała niespodziany datek pocałunków. Z wilgotnemi oczami, sama przyciskała się do matki i muskała ją pieszczotliwym ruchem delikatnej swej szyjki. Potem, jednem ramieniem objęła ją wpół i z twarzyczką opartą na jej łonie stała spokojnie. Między niemi zapach lewkonii wznosił się.

Długo nie mówiły nic. Wreszcie Joanna, nie ruszając się, spytała cichym głosem:

*

— Mamo, widzisz, tam, przy rzece, kopuła różowa cała... Co to takiego?

Była to kopuła Instytutu. Helena spojrzała, przez chwilę zdawała się namyślać — i rzekła.

— Nie wiem, moje dziecię.

Mała zadowolniła się tą odpowiedzią; znowu nastało milczenie. Ale po chwili inne zadała pytanie.

— A tam, bliziutko, te piękne drzewa! — rzekła, palcem wskazując na kawałek pokazujących się Tuileryów.

— Te piękne drzewa — szepnęła matka. — Na lewo, nie prawdaż?... Nie wiem, moje dziecię.

— Ah — rzekła Joanna.

Potem, po krótkiem zamyśleniu — dodała z minką poważną:

— Nic nie wiemy.

W istocie, nic nie wiedziały o Paryżu. Od ośmnastu miesięcy miały go przed oczami swemi, a nie znały go ani troszkę. Trzy razy tylko były w mieście, ale powróciły z bolem głowy, nic nie znalazłszy w tym pomięszanym ogromie ulic i gmachów.

Czasem jednak Joanna upierała się przy ciekawości swojej.

— Ah! musisz mi powiedzieć. Te szyby tak świecące...? Musisz wiedzieć, to nadto wielkie.

Wskazywała na pałac przemysłu. Helena wahała się.

Uśmiechnęła się, ucałowała włosy Joanny i powtórzyła zwykłą swą odpowiedź:

— Nie wiem, moje dziecię.

I dalej patrzyły na Paryż, nie starając się go poznać. Przyjemne to było bardzo: widzieć go a nie znać. Pozostawał tem, czem był dotąd: nieskończonym i nieznanym. Było to tak, jak gdyby się były zatrzymały na progu świata jakiegoś i wciąż patrzyły nań, a nie chciały doń wejść. Często Paryż niepokoił je swoim oddechem gorącym i przyspieszonym. Ale tego rana była w nim wesołość i niewinność dziecka, wiała od niego jakaś tajemnicza rzewność i czułość...

Helena wzięła znowu książkę do ręki, Joanna zaś, przyciśnięta do niej, patrzyła dalej. Niebo było jasne, nieruchome, a w powietrzu cisza zupełna. Dymy piekarni wojskowej wznosiły się prosto, w lekkich kłębach, które się rozpływały wysoko. A tuż po nad samymi domami przepływały fale, drganie życia, złożone z sumy życia, zamkniętego tam. Hałas uliczny łagodniał, miękł u góry. W tem szmer jakiś zwrócił uwagę Joanny. Stado białych gołębi wymknęło się z jakiegoś gołębnika w pobliżu i szybowało w powietrzu naprzeciw okna; białe skrzydła ich napełniły widnokrąg i przysłoniły ogrom Paryża.

Z oczami wzniesionemi i zadumanemi, Helena znowu marzyła głęboko. Była lady Roweną, kochała spokojnie i głęboko, jak każde serce szlachetne. Ten poranek wiosenny, to wielkie, ciche miasto, zapach tych pierwszych lewkonii, co leżały na jej kolanach, stopiły powoli jej serce.

Koniec części pierwszej.

WYCIECZKA NA ZJAZD PEDAGOGICZNY
DO NOWEGO SĄCZA.

Kto się przyzwyczaił do szybkiej jazdy na głównych kolejach europejskich, do pospiesznych pociągów kolei galicyjskiej, temu dziwnie długo wlecze się droga, jeżeli mu wypadło jechać kolejami bocznemi. Proszę przejechać się kolejami: Albrechta, Dniestrzańską, Łupkowską. Pociągi zatrzymują się na stacyach długo do znudzenia, a posuwają się flegmatycznym galopkiem; pod tym względem nie lepsza od innych droga Leluchowska. Za to okolica prawdziwie alpejska. Już za Tarnowem wjeżdża się w kotlinę Biały, pomiędzy smukłe wzgórza, które rozstępują się na chwilę około Tuchowa, odsłaniając piękną panoramę tego miasteczka. Piękne opactwo Benedyktyńskie zadumało się po nad miasteczkiem i słucha szemrań fali, u stóp swoich wijącej się Białej. W dali bieleje dwór w Buczynie śród wieńca topoli i lip gałęzistych. Kto zna te okolice, nasunie mu się na widok tego dworu okropne wspomnienie r. 1846 — cienie pomordowanych, sędziwa postać patryarchy tej okolicy świętej pamięci Różyckiego. Lecz jedźmy dalej. Jechać? Niepodobna. Trzeba zaopatrzyć się w bilet jazdy, a pan kasyer kolejowy nie umie po polsku i z najzimniejszą krwią oświadcza to wszem wobec i każdemu z osobna. Potrzeba tłumacza — znalazł się, jedźmy. Pociąg rusza się leniwo, mimo tego wesoło w wagonach. Po długiem niewidzeniu spotkali się koledzy, przyjaciele, towarzysze różnej doli. Snuje się gawęda żywa, serdeczna i pieśń wyrwie się z piersi. Okolica Ciężkowic piękna. Fantastyczne formacye skał zwieszają się do koła, niby mury Cyklopów, niby rozwaliny czarodziejskim urokiem owianych zamków, a wiodą podróżnego aż do Grybowa. Tu Semering polski. Wychylasz głowę z wagonu, a przed tobą góra wysoka około 2.000 stóp nad poziom morza. Na szczycie góry widzisz domki strażników kolejowych i uwierzyć aż trudno, że za chwilę siła pary zawiezie cię tam, dokąd oko nieśmiało sięga. Zakrętami wyłamuje się droga w górę, pociąg sunie poważnie, zwolna, ale śmiało, jak pewna zwycięztwa falanga. Jesteśmy na szczycie. Tu już malarza potrzeba, by zebrał te rozproszone widoki przepyszne w jeden obraz, mogący zachwycić każdego. Grybów i cała droga od Ciężkowic u stóp twoich, śród wieńca gór tulących do swego podnóża rozrzucone w wąwozach wioski. Mimowoli wyrywa się z duszy: „Jakaż piękna ta Polska nasza!“ Kto szuka wrażeń i pięknej przyrody pośród Alp szwajcarskich, niech zajrzy tu, niech się przejedzie z Grybowa do Karpat, a przyzna, że niepotrzebnie szukał tego w obczyźnie, co w kraju znaleść tak łatwo.

Minęliśmy tunel około Ptaszkowy, Kamionkę i pociąg znalazł się znowu w dolinie. Góry i skały ustępują mu z drogi, rozbiegają się na wszystkie strony, by nam odsłonić widok Nowego Sącza i połączyć się daleko za miastem w zielony, lesisty łańcuch. Cudne prawdziwie położenie Sącza; na wzgórzu łagodnem pośród Dunajca, Kamienicy i Popradu, widzisz porządnie zabudowane miasteczko z piękną farą, starym klasztorem jezuickim i resztkami zamku kasztelanów sandeckich, w którym przebywał niegdyś Długosz z synami Jagiellończyka. Zamek ten był gniazdem rodziny senatorskiej Pieniążków, herbu Odrowąż, z niego wyszedł słynny swego czasu (za króla Michała) wojewoda Sieradzki Mikołaj Pieniążek. O dawnej świetności tej rodziny świadczą tylko stare mury zamku sandeckiego i wsie: Odrowąż i Pieniążkowice. Na gruzach dawnych rodzin, wyrosły nowe, na gruzach starych zamków, świeże zameczki. Pociąg zbliża się do dworca sandeckiego, na lewo widnieje zamek Stadnickich w Nawojowej.

Zbliżamy się do dworca. Tłumy publiczności czekają na nas niecierpliwie na peronie. Pociąg się zatrzymał i z kilkunastu wagonów osobowych wyroiliśmy się prawdziwie gwarnym tłumem. Huk moździerzy przywitał nas na wstępie i ochocza muzyka, poczem burmistrz sandecki, adwokat p. Olszewski, przybyły na czele reprezentantów Rady miejskiej, witał prezesa Towarzystwa pedagogicznego, p. Sawczyńskiego i wszystkich członków, serdeczną przemową. Po chwili tłoczyliśmy się na wózki, by czemprędzej dostać się na kwatery, przez komitet sandecki dla wszystkich przygotowane.

Nazajutrz we czwartek, 18. lipca, rozpoczęły się posiedzenia nabożeństwem we farze. Sala posiedzeń mała, ledwie połowę członków zmieścić mogła, inni wraz z publicznością stanęli w dziedzińcu za oknami. Mimo ciasnoty, przyjemnie było wszystkim, bo każdy ożywiony szczerą chęcią służenia sprawie, brał przykład z koleżanek, które na tym zjeździe nader licznie się zebrały. Na 440 uczestników, było blisko 100 kobiet, a powiedzmy nawiasem: wiele pięknych, ba! nawet bardzo pięknych. Jakże tu zważać na ciasnotę i gorąco, gdy tyle promiennych oczątdodaje obradom uroku. Ale dajmy pokój. Jaki surowy kolega pedagog, zgorszy się tem zboczeniem estetycznem. Bądźmy poważni.

Na trybunę wstąpił najpierw burmistrz Olszewski i witając zgromadzonych, dziękował im za to, że za miejsce zjazdu obrali Nowy Sącz, mając inne bogatsze i obszerniejsze miasta do wyboru, i ubolewał, że miasto nie może przyjąć uczestników zjazdu tak, jak tego pragnie. Mowca cieszy się z tego, że właśnie w dniu dla Towarzystwa uroczystym, bo w dziesięcioletnią rocznicę swej działalności, znajduje się towarzystwo w Nowym Sączu. Mowę swą kończy burmistrz życzeniem powodzenia w pracy.

Zgromadzenie przyjęło tę mowę hucznemi oklaskami, poczem wstąpił na trybunę prezes Tow., pan Zygmunt Sawczyński, i dziękując burmistrzowi za przyjęcie, wskazał, iż nauczyciele zjeżdżając się ze wszystkich stron kraju, z najodleglejszych zakątków wschodniej Galicyi, dają tem dowód, że nie ma wschodniej i zachodniej Galicyi, że San nie jest żadną granicą, że jedność ich łączy ścisła, serdeczna, że dobro kraju wszystkim zarówno leży na sercu.

Nawiązując do słów burmistrza, który ubolewał nad niedostatecznem przyjęciem członków Towarzystwa pedagogicznego, oświadcza prezes tegoż Towarzystwa, iż zapewnić może, że uczestnicy zjazdu, przyzwyczajeni do nader skromnego życia, nie żądają świetnego przyjęcia, a wystarcza im zupełnie przyjęcie serdeczne, oni tam idą, gdzie wołani bywają sercem, i szczerość płacą szczerością. A przecież gród, w którym obecnie pedagogowie się zebrali, odznaczał się uczciwem sercem swych mieszkańców, wszakże to gród, jak dzieje wskazują, zasłużony około dobra narodu. A jako prezes miasta cieszył się, że właśnie dziesięcioletni jubileusz Towarzystwa odbywa się w Nowym Sączu, tak też i prezesowi Towarzystwa sprawia to szczególną uciechę, wszakże tak powinno się było stać, bo miasto to ma świetne reminiscencye pedagogiczne; tu bowiem pod kierownictwem Długosza kształcili się także synowie Kazimierza Jagiellończyka, ci, którzy panowali potem sprawiedliwie, nie podnosząc hasła, że „siła idzie przed prawem“ — tu wychował się ów Zygmunt, z którym obce mocarstwo nie chciało zawierać traktatu osobnego, mówiąc, że jego słowo wystarczy.

Pięknie mówił także prezes o stosunku szkoły do domu, o usiłowaniach Towarzystwa pedagogicznego do sprowadzenia porozumienia wszechstronnego między domem a szkołą, a w zjazdach Towarzystwa upatruje on najsilniejszy środek ku osiągnięciu tego celu. Następnie zwracając się do nauczycieli, przypomniał im, że zdrowy rozum narodu, który w przysłowiach się uwydatnia, stworzył złorzeczenie: „bodajbyś cudze dzieci uczył,“ bo przykrą jest dola nauczyciela, a przecież, skoro stosunki szkolne się polepszą, skoro dalej pracować będziemy, jednocząc siły, możemy dojść do tego, że z czasem zdrowy rozum narodu znajdzie inne przysłowie, które świadczyć będzie o tem, że dola nauczyciela jest pozazdroszczenia godną.

Przemówienie to huczne przerywały oklaski.

Przystąpiono do porządku dziennego. Na sekretarzy powołani pp. Świechło z Tarnopola i Pająk z Krakowa.

Rozpoczynając tok rozpraw, podał prezes do wiadomości, że Tow. wydało „Krótki pogląd na dziesięcioletnią działalność swoją“ (1868—1878), opracowany przez dr. T. Gerstmana. Z historyi Towarzystwa pedagogicznego widno, że myśl założenia tegoż i pierwsze starania około urzeczywistnienia tej myśli, zawdzięczyć należy p. Trzaskowskiemu, dyrektorowi gimnazyum tarnowskiego, to też na wniosek prezesa, zgromadzeni uczcili twórcę Tow. przez powstanie. Już to skoro mowa o Trzaskowskim, przyznać należy, że dotąd jest on duszą zjazdów i narad wszelkich. Głęboki myśliciel, śmiały obywatel, dzielny pedagog, a serdecznie poczciwy człowiek i najmilszy w świecie towarzysz.

O publikacyi dr. Gerstmana zapewne osobną podacie relacyę, na tem miejscu to tylko nadmienić muszę, że opracowana bardzo starannie, ze zręcznością prawdziwego historyka, nader ciekawą jest lekturą dla każdego, kto tylko cokolwiek sprawami kraju się zajmuje. Nie można tu pominąć uwagi, iż dr. Gerstman należy do najwytrwalszych i najczynniejszych członków Towarzystwa.

Należało się uczcić pamięć dwóch honorowych członków Towarzystwa, a to dr. Dietla i hr. Wł. Tar-

nowskiego. Prezes wykazał ich zasługi obywatelskie, podał krótkie życiorysy i wyraził ubolewanie z powodu ich śmierci. Potem zawiadomił prezes zebranych o udziale zarządu w uczczeniu jubileuszu Kraszewskiego, mówił następnie o wydawnictwach Towarzystwa ped., zwracając szczególną uwagę na czasopismo „Szkołę,“ która nietylko dla nauczycielstwa, ale i dla rodziców i wszystkich, co się wychowaniem zajmują, pożyteczną i potrzebną jest lekturą.

Z powodu czterdziestoletniego jubileuszu p. Franciszka Haralewicza, nauczyciela z Przemyśla, obecnego na zgromadzeniu, wyraziło zebranie na wniosek prezesa przez powstanie, cześć swą zasłużonemu w szkolnictwie jubilatowi. P. Haralewicz dziękował serdecznie pełen wzruszenia, za ten objaw koleżeńskiej życzliwości.

Teraz nastąpiły sprawozdania z rocznej działalności zarządu głównego i zarządów oddziałowych, przyczem wybrano komisye lustracyjne do przejrzenia rachunków. (C. d. n.)

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 25. lipca.

Musi być już bardzo krucho z rozpuszczonymi artystami teatru lwowskiego i rozpuszczającymi się z desperacyi kronikarzami dzienników tutejszych, jeżeli pierwsi uciekają się do urządzania festynów z psiemi figlami, a drudzy te psie figle biorą za przedmiot do swoich dyskusyi.

Do sporów tych, jako policyant moralności zwierzęcej w myśl uchwał ostatniego kongresu, miesza się z czynną interwencyą i Towarzystwo opieki nad Zwierzętami. Napróżno komitet festynowy zapewnia, że przyjął względem psów wygłoszoną przez tenże kongres zasadę równouprawnienia, bo przypuszcza do wyścigów wszystkie psy bez różnicy płci, wieku, długości uszu i długości nóg, nie wspominając przez delikatność o urodzeniu, a tym obrońcom spokoju publicznego jeszcze za mało. Obiecano zwycięzcom kotlety i polędwicę z kartoflami, jak raz toż samo co się obiecuje tancerzom na wieczorach familijnych, obiecano że sami panowie przyjmą udział w gonitwach, że wszelkie sanitarne i rasowe względy będą miane na względzie, a krzyki nie ustają, spór się zaostrza, robią się sprawozdania urzędowe do c. k. policyi, i kto wie czy publiczność zgromadziwszy się w dniu 4. sierpnia na Wysoki Zamek, nie dozna zawodu. Zdaje się, że w tem wszystkiem prócz wrodzonej miłośnikom psów dobroci serca gra ważną rolę ukryta wielka myśl polityczna nierozbudzania namiętności, jakiekolwiekby one były w publiczności lwowskiej. Wyścigi takie bądź co bądź podnoszą zwyczajną skalę uczucia i psów i widzów, obudzają współzawodnictwo, rozgrzewają, podniecają drzemiący umysł, co obecnie przy tak szczęśliwie na kongresie berlińskim dokonanem uspokojeniu Europy, zaraźliwie oddziałać może na ludność mahometańską w Bośnii, której w towarzystwie sześćdziesięciu tysięcy bagnetów ponieśliśmy oliwną rożczkę cywilizacyi... Najpewniej że tu idzie o nieprzerywanie przyjemnej drzemki swawolnej publiczności lwowskiej, którą dzięki wyprawieniu p. Gillera do Szwajcaryi, jakoś udało się nam ukołysać.

Kochany mój ludku lwowski, na coś ty zeszedł, jeżeli psie wyścigi zaczynają cię interesować na seryo? Proszę cię odstąp parę kroków od zwierciadła i przypatrz się sobie co się z ciebie zrobiło? Dalibóg wstyd mię za ciebie, mnie kronikarza tygodniowego, któremu w ciągu tygodnia nie dajesz na włos materyału do poważniejszych debatów nad twoją działalnością. Nie tylko zakochałeś się w loteryi: to koń, to krowa, to kaczki, kury, prosięta, szynka i parę łokci kiełbasy wystawione do rozegrania na losy, zajmują twój niegdyś ruchliwy i pełen wielkich pomysłów jak np. rezolucya umysł..... Nie chcę powiedzieć na co schodzisz, ale domyśl się tego, wspomniawszy, co zaprząta twoją wyobraźnię!

Prawda i to, że najruchliwsza część Lwowian opuściła miasto, udając się na wycieczki to do Paryża, to do wód, to w góry i dopiero we wrześniu z chwilą otwarcia sejmu, można się spodziewać więcej ożywionego ruchu w stolicy. Nie mamy szczęścia w tym roku do niczego: szach nie wstąpił, Rossi nie przyjechał, wielkie manewry z obiecanym przyjazdem Najjaśniejszego Pana z powodu oszczędności zaniechane, letni teatr na Strzelnicy nie mógł się udać z powodu braku kochanek, jednem słowem nic nam się nie wiedzie, nawet uczniowie i profesorowie mając zapowiedziane wakacye do końca października, będą musieli wcześniej wziąć się do nauki. Zdaje się, że i sam wysoki sejm zrobi nam niespodziankę obradując tylko trzy tygodnie... a wszystko to dla oszczędności..... A nuż by też szanowni posłowie rozgadali się zanadto ze szkodą spraw domowych, a nużby im przyszło do głowy uchwalić znowu jaki adres lojalności lub coś podobnego? A tak lepiej zawotować budżet, projekta nowych praw schować do teki i rozesłać posłów na drzemkę do domu — kto śpi nie grzeszy!

BIBLIOGRAFIA POLSKA.

— *Jan Kiliński* szewc warszawski, obraz dramatyczny mieszczański w pięciu aktach a siedmiu odsłonach napisał G. F. 8ka str. 171. Lwów 1878 90 cnt.

— *Jeż T. T.* Pod obuchem, powieść 2 tomy 8ka str. 209. 203. Lwów 1878. 3.80

— *Scherr J.* Charaktery osób historycznych Joanna d'Arc, Kromwel, Ninon de Lenclos, Karol XII, Mirabeau i Marya Antonina, Matylda, królowa duńska. 8ka str. 251. Lwów 1878. 2.12.

— *Śpiewnik polski* zeszyt II. (religijno - narodowy) 8ka, str. 96. Lwów 1878. 20 ct. Na lepszym papierze 30 ct. Prenumerata na 12 zeszytów 2 złr. Na lepszym papierze 3 złr. Z przesyłką o 24 ct. więcej.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

*** *Plutarch Polski*, jak donoszą „Nowiny,“ nie wyjdzie już we Lwowie. Wiadomość tę pospieszamy sprostować, albowiem Księgarnia Polska wcale nie zaniechała projektu wydawnictwa i owszem zgromadza materyały mając zamiar wydawnictwo to w najbliższym czasie w czyn wprowadzić.

Plutarch Polski zawierać będzie szereg zasłużonych i sławnych mężów w Polsce od najdawniejszych czasów znanych w chronologicznym porządku do dni dzisiejszych. Z dodaniem krótkiego zaokrąglenia każdej epoki, tak, że obok pojedyńczych życiorysów, całość obejmie obraz historyi polskiej.

Redakcya *Plutarcha Pol.* wkrótce ogłosi szczegółowy prospekt.

*** Dowiadujemy się, iż księgarnia Gebethnera i Wolffa w Warszawie zamierza wydawnictwo *Biblioteki ludowej*, której redakcyi podjął się Zygmunt Gloger. Nie znamy ani programu tego wydawnictwa, ani rozmiarów, sądzimy jednak, że wydawnictwo to będzie odpowiednie naglącej potrzebie i zasobom firmy, która je podejmuje.

Upadek powstania styczniowego, a łącznie z tem upadek ducha narodowego, stał się przyczyną, iż z programu prac narodowych wykreśloną została najgłówniejsza *oświata ludu*. Przez lat 15 nie ukazała się prawie ani jedna książka ludowa, a za to wybujały chwasty jak „Teka Stańczyka“ itp. Ostatnia doba wskazuje nam, że się zaczynamy budzić z tej przydługiej drzemki i na polu wydawniczem mamy do zanotowania z ostatnich czasów wydawnictwo książeczek ludowych Bohussa w Jarosławiu, Kazimierza Promyka w Warszawie, zapowiedzianą spółkę księgarzy lwowskich, obecnie Gebethnera i Wolffa, a także dowiadujemy się, iż p. Kazimierz Promyk zamierza otworzyć w Warszawie księgarnię, poświęconą głównie wydawnictwom ludowym.

*** Wydawnictwo dziełek ludowych we Lwowie, które przyznać trzeba, zanadto mało daje znaków życia, wydało obecnie nową książeczkę dla ludu Piotra Zbrożka *Gmina Zalesie.*

*** *Piękna*, nowy dramat Wł. Okońskiego opuścił prasę w Warszawie.

*** *Jan Kiliński*, szewc warszawski, obraz dramatyczny mieszczański w 5 aktach a 7 odsłonach napisał G. F. Wyszedł z druku we Lwowie.

*** P. Bernard Kalicki wydał nową swoją pracę: „Bogusław Radziwiłł,“ koniuszy litewski. Szkic historyczny.

*** Poczet monografii miast pomnożyła cenna praca dr. Karwowskiego pt. „Kronika miasta Leszna,“ wydana w Poznaniu. Autor osnuł kronikę grodu pomienionego, na podstawie materyałów czerpanych z miejscowego archiwum.

*** Prof. Liske wydał w początku tego roku dwie rozprawy po duńsku, zamieszczone w czasopiśmie histor. wychodzącem w Kopenhadze; jedna: Af Ulrich v. Verdums Reisebeskrivelse, a druga: Af Tyrs Albrecht Stanislaus Radziwills memoirs. Prace te odnoszą się do historyi duńskiej.

*** Prof. Chyliński w Dwutygodniku krakowskim zamieścił wyczerpującą krytykę pracy Michała Bobrzyńskiego, zamieszczonej w „Niwie“ a stanowiącej początek przygotowującej się do druku Historyi polskiej.

*** Słynne czasopismo geograficzne paryskie „Le Tour du monde“ rozpoczęło w numerze 910 z 17go czerwca r. b. druk obszernej podróży p. F. de Mély, odbytej w r. 1876 pt. „Cztery miesiące w Rosyi.“ Znakomite drzeworyty w tekście podają widoki głównych miejscowości, jakie autor zwiedził, a mianowicie, jak dotąd, widoki Odessy, Eriklikų, Liwadyi, Oryandy, Jałty, Ałupki, N. Czerkasku i innych.

*** Niestrudzony badacz prowincyj nadbałtyckich Jerzy von Buage wydał świeże dzieło w tej materyi w Gotha pt. Das Hercogthum Estland unter der Königer von Dünemark, w którem przedstawiono dzieje kraju tego pod panowaniem Duńczyków (1238 do 1347). Autor po obrazowym opisie chwil podboju, przedstawia położenie kraju, oraz negocyacye, które poprzedziły odstąpienie Inflant i w sposób wyczerpujący rozbiera prawo publiczne i organizacyą mieszkańców onego. Szczególniej opis urządzeń miejskich i stan ekonomiczny kraju, budzą interes niepospolity.

*** U księgarza Denta w Paryżu wyszła książka pt. „Garibaldi, jego życie, przygody i walki“ przez generała Bordone. Autor, znany w wojnie prusko-francuskiej, szef sztabu generalnego, przypisał dzieło swoje Wiktorowi Hugo, który podziękował mu za to następującym listem:

„Mój dzielny i drogi współobywatelu! Przyznaję wam słuszność. Opowiadajcie te wielkie czyny, które Garibaldi wykonał dla Francyi w niebezpieczeństwie. Opowiadać te czyny, to znaczy — wielkie dzieła koło siebie gromadzić. Wszystkie silne i szlachetne duchy łączą się dziś w rzeczpospolitą, a najpiękniejszą zapowiedzią związku, który kiedyś ludy zaspokoić może, jest braterstwo pomiędzy Italią a Francyą! Przyjmuję dedykacyę z wdzięcznością, i życzę wam najlepszego powodzenia.

Wiktor Hugo.“

*** Spółka nakładowa, która działalność swoję rozpoczęła od wydawnictw jubileuszowych: „Wolter“ i „Rousseau,“ zaznaczając tym sposobem kierunek swej ogólnej działalności wydawniczej, przygotowuje do druku kilka innych prac tłumaczonych i oryginalnych, które w jesieni wyjdą z pod prasy. Jako jedno z pierwszych ukaże się znakomite dzieło Edgara Quineta pt. „L'esprit nouveau“ (Duch wieku,) które jest syntezą wyobrażeń naukowych i moralnych autora, wysnutą z pozytywnych faktów nauki ścisłej.

Potem spółka ma zbogacić naszą literaturę, a raczej tylko nasz handel księgarski, przekładem „Historyi literatury polskiej“ Włodz. Spasowicza, która z myśli swojej do piśmiennictwa polskiego należała zawsze, pomimo obcej formy. Autor przygotowuje do druku nowe wydanie oryginału rossyjskiego, wielce powiększone, i właściwie pozwolił „Spółce“ korzystać z rękopisu dla tego, żeby przekład polski mieścił w sobie wszystkie dopełnienia, które wejdą do tego nowego wydania. Cieszymy się niewymownie, że nareszcie krytyczne poglądy Spasowicza na skarby naszej literatury zostaną uprzystępnione dla szerszego ogółu, a zwłaszcza dla młodzieży. Co do innych większych wydawnictw Spółki, to ponieważ jej fundusze, jeszcze w zawiązkach, nie pozwalają na zbyt wielką śmiałość w przedsiębierstwie, musiano odłożyć je na później. Słyszeliśmy tylko, że jej kosztem ukończone ma być wydawnictwo „Dzieł Darwina,“ rozpoczęte kosztem „Niwy“ (dawnej), tak, iż łącznie z przekładami tego autora wydanemi we Lwowie, mielibyśmy nareszcie zupełny w języku polskim zbiór jego dzieł (prócz ostatniego o roślinach owadożernych.) Natomiast wydawnictwo broszur tej wielkości co „Wolter“ ma być prowadzonem dalej bez przerwy, ograniczając się wyłącznie na pracach oryginalnych. Z kolei ukaże się podobno szkic historyczny pt. „Lat temu sto (1778)“ i rozprawka p. n. „Nasze najnowsze siły literackie.“

*** „Z wesołych chwil Goetego“ — taki tytuł nosi nowy utwor sceniczny znanej autorki niemieckiej, pani E. Henle, budzący obecnie dużo zajęcia w Niemczech — a nabyty przez wiedeńskiego dyrektora, Laubego. Komedya rozgrywa się na dworze książęcym w Weimarze. Poeta, w dwudziestym siódmym roku życia ukazuje się tu w pełni zadziwiającego humoru; intryga osnuta jest na zakładzie, że Goete na balu maskowym nie będzie poznanym przez księcia i najbliższych jego przyjaciół. Z powodu choroby, którą poeta dzień przedtem udatnie zaimprowizował, lekarze położyli go w łóżko; książę i bliżsi znajomi przed samym balem odwiedzili chorego, powszechnem było ubolewanie, że znakomita gwiazda Weimaru zaczyna gasnąć.

Tymczasem Goete znajduje się na balu, w masce, naśladuje tak łudząco mowę i ruchy burmistrza weimarskiego, że uierza to wszystkich. Prowadzi poeta pod rękę powabną córkę burmistrza w kostiumie Hiszpanki, w rzeczywistości zaś jest to syn pana burmistrza, niedorostek nadzwyczaj podobny do siostry, którego Goete w zaufaniu sobie zjednał. Książę namiętnie prześladuje i ściga młodą Hiszpankę, podczas, gdy małżeństwo prawdziwej córki burmistrza, o mało że nie zostaje zerwane, przez żart jej brata. Księżna unosi się gniewem na małżonka, a narzeczony burmistrzówny, zagrzany trunkiem wyzywa na pojedynek Goetego. Wreszcie odkrywa się cała historya, gniewy łagodzą się wyjaśnieniem, że chodziło tylko o przeprowadzenie zakładu Goetego i księżna przebacza mężowi zbyt namiętne zaloty do mniemanej Hiszpanki czy burmistrzównej, zadawalając się tłumaczeniem, że i to było tylko udaniem, dla zadowolenia wesołego wieszcza. Akcya sztuki, jakkolwiek prowadzona dość lekko, jest zajmująca i już przez samo wspomnienie wielkiego męża z Weimaru ma na scenach niemieckich zapownione powodzenie.

*** Nowe dzieło ekonomiczne pt. „Adam Smith jako filozof i twórca Ekonomii politycznej“, wyszło świeżo w Berlinie w języku niemieckim. Autorem jest dr. Witold Skarzyński. Obszerną pracę swoją (461 str.) pan Skarzyński przedstawił Uniwersytetowi wrocławskiemu, ubiegając się o otrzymanie w nim privat-docentury.

Celem pracy powyższej było odpowiedzieć na pytanie, które autor formułuje w ten sposób: „Czy Adama Smitha należy uważać, raz jako oryginalnego filozofa-moralistę, powtóre jako twórcę ekonomii politycznej, a zatem wogóle jako samodzielnego, nowe drogi torującego myśliciela?“

Wyniki swoich badań autor streszcza w zdaniach następujących:

1) Dla historyi ekonomii politycznej wynika z naszych badań przeświadczenie, że nie Adama Smitha, lecz fizyokratów uważać należy za twórców tej nauki — Humego za najgłówniej drogę tę torującego — Smitha za dalej ją rozwijającego — Stewarta właściwie tylko za polityka ekonomicznego.

2) Dla dogmatyki ekonomii politycznej wynika: 1. że Adam Smith wraz ze swoją szkołą wprawdzie często używał frazesu o pracy, jako pierwszem źródle bogactwa — i wielokrotnie kokietował z przewodnią myślą owego frazesu i mniej lub więcej z nią igrał — lecz idei tej nie zrobił axiomatem swej spekulacyi ani kamieniem węgielnym swego systematycznego ekonomicznego poglądu na świat; ani wreszcie gwiazdą przewodnią swoich postuałów praktycznych; 2. że bez zastosowania najnowszych wyników badań przyrodniczych do nauki ekonomii politycznej i bez polityczno ekonomicznej organizacyi narodów i państw jako samodzielnie na naszem terytoryum gospodarujących okręgów (centr.) w pośrodku których proces produkcyjny odbywałby się w formie krążenia materyi, ziemi z jednej strony wziętych, a z drugiej strony dodanych, do którego zaś procesu wszystkie trzy funkcye produkcyjne, rolnictwo, przemysł i handel. Każda w swój właściwy sposób i w mierze, częścią przez przyrodę, częścią przez ludzkie ustanowienie i osądzenia harmonijnie ukształtowanej przyczyniaćby się powinny — żaden naród ani państwo nie zdoła sobie utworzyć pewnej egzystencyi ekonomicznej, żaden stały pomyślny rozwój ekonomiczny nie jest możliwy.

Nie tu miejsce do rozbierania poważnej pracy ekonomicznej, z przytoczonych zaś zdań widać, że zawiera ona poglądy starsze, niepodległe i samodzielne.

Dla bliższego wyjaśnienia stanowiska, jakie zajmuje autor względem licznych szkół ekonomicznych przytaczamy jeszcze własne jego słowa:

„Dla czytelników, którzy może nie znają najnowszych przemian rozwoju ekonomii politycznej w Niemczech, w ostatnich dziesiątkach lat, dodajemy dla łatwiejszego zoryentowania się uwagę, że kierunek naukowy, który się wiąże z nazwiskiem Fryderyka Liszta, Henryka Careya i Eugeniusza Dühringa, a do którego i my się wogóle i w całości przyłączamy, należy do stanowisk naukowych, które dotąd w Niemczech wogóle jeszcze mało zyskały uznania — na uniwersytetach zaś albo zupełnie bywają potępiane, albo umyślnie ignorowane, podczas gdy „historyczno-etyczno-realno-psychologiczno-socyalno-polityczny“ kierunek czyli szkoła albo partya, opanowuje prawie wszystkie katedry niemieckich, a po części i austryackich uniwersytetów, a szkoła wolnego handlu, wraz z swą doktryną „laissez-faire, laissez-passer“ cieszy się jeszcze zawsze pomiędzy „mężami praktyki największym wpływem.“

Starania młodego autora w uniwersytecie wrocławskim, z powodu niezależnego naukowego stanowiska, jakie obrał w swych badaniach nie zostały uwieńczone, według doniesienia poznańskiego „Ruchu“, z którego czerpiemy powyższe informacye pomyślnym skutkiem. Jeżeli przypomnimy sobie, że niedawno, z tychże powodów, wyznawca tegoż samego ekonomicznego kierunku — Dühring, utracił już posiadaną od lat wielu docenturę — to dojdziemy do konkluzyi niezbyt pochlebnych dla przechwalonych uniwersyteckich republik w Niemczech. Dühringa nie uratowała ani sława naukowa, ani długoletnie zasługi względem samego uniwersytetu.

*** Świat artystyczny w Paryżu zajmuje się pod obecną chwilę nader gorąco uorganizowaniem kongresu międzynarodowego artystów, na wzór odbytego niedawno kongresu literackiego. Celem tej powszechnej biesiady byłoby rozstrzygnięcie kwestyi własności, przedyskutowanie specyalnych interesów rzeszy malarskiej, rzeźbiarskiej etc., ustalenie zasad nauczania, podstaw stowarzyszenia artystów i td. Liczne głosy zarówno we Francyi, jak po za jej granicami usilnie popierają ten projekt, któremu minister udzieli zapewne niebawem swą sankcyą. Kongres odbędzie się bez wątpienia we wrześniu, pod epokę rozdawania nagród, aby zgromadzeni licznie w Paryżu artyści cudzoziemcy bez przeszkody udział w nim przyjąć mogli.

Spodziewamy się, że nasi uprawiacze sztuk pięknych — wbrew dzikiej zasadzie izolacyi — zasiądą na kongresie paryskim w liczbie pokaźniejszej, niż ta, na jaką się zdobyli literaci polscy.

*** Właściciel składu rycin w Warszawie, pan K. Sommer, puścił w obieg siedm udatnych rycin przedstawiających: Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Pola, Syrokomlę, Kraszewskiego i Bartoszewicza.

*** W akademii sztuk pięknych w Wiedniu, przy rozdziale nagród i stypendyów, otrzymał między innymi, pan Franciszek Krudowski z Krakowa, uczeń szkoły malarstwa historycznego, stypendyum za obraz przedstawiający „św. Cecylią“.

*** Głośny pianista, pan Antoni Rubinstein, przybył w tych dniach do Paryża, w celu przyjęcia dyrekcyi koncertu, który ma się odbyć niezadługo w gmachu wystawy.

*** Dowiadujemy się, że druga przesyłka starożytności peruwiańskich, przeznaczona przez prof. Władysława Klugera dla Akademii umiejętności w Krakowie, która wraz z okrętem „Karnac“ rozbiła się na brzegach brazylijskich, uratowana i przeładowana na okręt „Bahia“, dostała się szczęśliwie do Hamburga.

*** Dzienniki zagraniczne donosiły niedawno, że historyograf morawski, N. Dudik, na początku czerwca r. b. udał się do Sztokholmu, celem odebrania z tamtejszej biblioteki królewskiej cennych ksiąg, które Szwedzi podczas wojny trzydziestoletniej uwieźli z Pragi, a które obecnie staraniem Wydziału krajowego Morawii, po przeprowadzonych z rządem szwedzkim układach, wymienione zostały na inne wartościowe dzieła z księgozbiorów austryackich. W liczbie tych, powracających po tak długim czasie dzieł, które przeznaczone zostały dla archiwum krajowego Morawii, znajdują się cenne okazy literatury średniowiecznej, przeważnie czeskiej, w znacznej części rękopisma historyczne.

Fakt ten dokonanej zamiany zaszczytnie świadczy z jednej strony o znanej pieczołowitości Czechów o płody nauki i ducha pisarzów narodowych, z drugiej zaś o chwalebnej względności rządu szwedzkiego dla narodów, z którymi odległe pokolenia Skandynawii zaciekłe prowadziły wojny.

*** Do historyi wszechnicy jagiellońskiej przybył nowy materyał, wydany kosztem akademii umiejętności a przez Szujskiego opracowany pt. Statuta kollegii majoris studii generalis cracoviensis anno 1429 concinata, odnoszący się niewątpliwie do pierwszych lat restauracyi uniwersytetu r. 1400. Mieszczą tam się urządzenia kolegialne, które nadały wszechnicy wybitną cechę, wspólną wyższym zakładom tego rodzaju za granicą. Dotychczasowe biografie uniwersytetu jak Sołtykiewicza, Brandowskiego, Paulego i Muczkowskiego, pozbawione były źródeł pierwotnego rozwoju swego, albowiem najstarsze zabytki archiwum i rękopisy średniowieczne dotąd zbadane być nie mogły. Obecnie na podstawie nowych źródeł akademia przystąpi do wydania wyczerpującej historyi wszechnicy.

*** Dnia 14. bm. odbył się w Paryżu bankiet pożegnalny, dany przez towarzystwo „Société des voyages d' etudes autour du monde“ na cześć uczestników pierwszej przez instytucyę tę przedsiębranej wyprawy naukowej wokoło ziemi. Przewodniczył p. Ferdynand Lesseps. Stanley, generał Türr, Qatrefages, Biard, Levasseur, wszystkie wogóle obecne w Paryżu znakomitości na polu geografii i krajoznawstwa, brały udział w bankiecie. Koszta tej ekspedycyi są tak znaczne, że tylko dla bardzo zamożnych dostępny jest udział w wyprawie. Statek „Junona“, umyślnie w tym celu zbudowany, obejmuje 1250 ton ładunku a siła jego wynosi 600 koni. W 10 gabinetach znajduje się wygodne pomieszczenie dla 60 pasażerów. Czytelnia i biblioteka, salon konwersecyjny, jadalnia, wszystko urządzone z komfortem. Trzech profesorów miewać będzie wykłady z historyi naturalnej, geografii, fizyki i meteorologii, nb. — „si le temps et les circonstances le permettent“.

*** Pan Artur Malinowski, rytownik z Monachium, nadesłał do komitetu zajmującego się uczczeniem piędziesięcioletniej rocznicy zawodu pisarskiego J. I. Kraszewskiego próbną odbitkę gipsową medalu, przeznaczonego dla Jubilata, którą komitet przyjął i dał o niej jak najchlubniejsze dla artysty świadectwo. Medal jest pełen smaku i oprócz pamiątkowej, będzie miał niewątpliwie wysoką wartość artystyczną.

Przy tej sposobności przypominamy publiczności, że jeszcze można nadsyłać pieniądze na medal, płacąc tylko 3 złr. Ponieważ liczba medali będzie zastosowaną do liczby przedpłacicieli, przeto po upływie terminu zapisów nie będzie już można nabyć tak drogocennej pamiątki — chyba za bardzo wysoką cenę.

Starożytności.

*** Pan Leon Landeau, szczęśliwy posiadacz cmentarzyska gallo-rzymskiego na ulicy Nicole w Paryżu, w tych dniach, w obecności archeologów i uczo-

nych, odkrył bardzo ciekawe wykopaliska. Znaleziono urnę glinianą, zwaną „lagena,“ którą krewni stawiali na grobie przy głowie nieboszczyka. Wkrótce potem wydobyto i samą głowę, olbrzymie rozmiary, krórej mogą być przedmiotem poważnych badań antropologicznych. Następnie znaleziono kolejno, kości nóg i rąk, gwoździe, nawet i szpilki. Na kolanach szkieletu i przy nogach jego leżało z pół tuzina szklanych naczyń, gliniane butelki, dzban do mleka i inne; także piękna łyżka ze słoniowej kości. Wszystkie te przedmioty były dobrze zachowane. Dziwna rzecz, że ze wszystkich tych naczyń wydobywała się nieprzyjemna woń, powstająca z gnicia pokarmów, które leżały tam prawdopodobnie przed XVIII-tu wiekami.

Wiadomości ekonomiczne.

*** Czytamy w *Nowinach.*

Myśl wypłaty czwartkowej — a nie sobotniej — robotnika, rzucona przed rokiem, o ile się zdaje, tu i owdzie przechodzi w życie. Nie tylko większe fabryki, ale i mniejsze warstaty zmianę tę wprowadzają u siebie. Zyskają na tem gosposie, zaopatrując spiżarnie z piątkowego targu i rzemieślnicy sami, którym na niedzielę mało już pozostanie do stracenia. Najbardziej zaś zyska robota sama ze zniesienia *poniedziałkowania.*

*** W Anglii rząd i społeczeństwo biorą się energicznie do wytępienia pijaństwa Jedno z pism warszawskich donosiło już o billu, na podstawie którego mają być urządzone przytułki dla pragnących się poprawić pijaków.

Obecnie jedna z gazet niemieckich donosi, że sir William Laurens, naczelnik angielskiego towarzystwa trzeźwości wniósł projekt do prawa, aby koncesya na założenie nowego szynku, lub rozkaz zamknięcia już istniejącego, zależał od zgody przynajmniej $^2/_3$ części całej ludności okolicznej

Konieczność użycia podobnego środka Laurens motywuje tym smutnym faktem, że Wielka Brytania zużywa corocznie piwa i napojów spirytualnych za kolosalną summę 140.000.000 funt. szterl. (około 2,000,000,000 złr.) i że w ubiegłym roku 350.000 ludzi aresztowano za pijaństwo i burdy uliczne.

ROZMAITOŚCI

*** Gazeta *Nowosti* dowiaduje się, że prowadzi się w wyższych instytucyach rządowych korrespondencya o ustąpieniu rządowi pruskiemu kawałka ziemi nad Niemnem na wybudowanie przystani.

*** W powiecie Skierniewickim mieszka zamożny szlachcic, który aż do skonu Piusa IX. przekonany był mocno, że światło dla gminu szkodliwem jest srodze, bo go z gościńca wiary na manowce bezbożności sprowadza.

Z tak bogobojnej wychodząc zasady, nie kwapił się z otwarciem uczelni w swych dobrach; dom, przeznaczony niegdy na szkołę, na inny obrócono użytek.

Tymczasem Leon XIII. w encyklice swojej głosi braterstwo nauki z wiarą i wola o oświatę dla gminu... Szlachcic się zdziwił— lecz, jako posłuszny syn kościoła, z polityką Piusa IX. zerwawszy — nauczyciela sprowadził i szkołę już podobno otworzył...

*** Od czasu wielkiego wybuchu Wezuwiusza, który w 79. po Chr. zagrzebał w popiołach Pompeje (niewłaściwie mówią w 1 przyp. *Pompeja*), gród ten nie oglądał widowisk teatralnych. Przed niedawnym czasem przybył tam włoski impressario Luigni i otwierając szereg przedstawień, w takiej, dość oryginalnej formie dał znać o inauguracyi świątyni Melpomeny na odwiecznych gruzach: „Po przerwie 1800 lat teatr w Pompejach zostanie otworzony „Córką Regimentu.“ Proszę publiczności o to samo pobłażanie, jakie miała dla mego poprzednika Marka Kwintusa Marcyusza, i zapewniam ją, iż dołożę wszelkich starań, aby dorównać zaletom, jakich on za swej dyrekcyi dał dowody.“

*** Dowcipy Earla Beaconsfielda. Do Beaconsfielda, który z powodu publicznego ogłoszenia konwencyi cypryjskiej był nieco chory, przybył jeden z członków ambasady rosyjskiej w Berlinie i w imieniu Gorczakowa pytał o zdrowie J. lordowskiej Mości. Beaconsfield dziękował za pamięć, a na pytanie czy zażywa lekarstwa, odrzekł: „Nie, tego mi nie zalecono, spokój mnie sam uleczy“. — „Ale mimo to zażyłeś W. E. trochę Cypru“ (wina cypryjskiego,) przerwał posłaniec, a mój szef mniema, że środek ten ostry niekoniecznie jest korzystny.“ — „Tak mniema książę, zauważył Beaconsfield. Książę może mieć słuszność. Ale uspokój go pan, znam ja się na tem i bądź pan tak dobry powiedzieć mu: *Pro Batum est!*

*** „Tribuna“ berlińska zamieszcza następującą anegdotkę charakterystyczną z kongresu: Posiedzenie oficyalne zostało zakończone, a członkowie kongresu stali jeszcze, gawędząc w sali obrad. Hr. Szuwałow rozmawiał z pewnym młodym dyplomatą, który przysłuchiwał się naradom. Hr. był znudzony, młodzieniec ów więc, zapytał, czy nie pozwoli hrabia służyć sobie czemś chłodzącem? Szuwałow prosił o trochę B. S. (Skrócenia tego używają Anglicy na oznaczenie „Brandy and Soda“ — a na razie głoski te same zastosować się dały i do pełnomocników angielskich). „Ach, zawołał młody dyplomata — Ekscelencya życzy sobie Beaconsfielda i Salisburego.....? — Nie, odparł z uśmiechem hrabia — wolałbym już Batum i Sofią.“

Handel ludźmi w Afryce.

Czy może być coś bardziej obrażającego poczucie godności ludzkiej, coś bardziej sprzecznego z duchem chwili obecnej i jej postępowemi dążeniami nad „handel ludźmi?“ A jednak w Afryce, owym najciemniejszem cywilizacyjnem pustkowiu — ohydny ten gatunek przemysłu, pomimo wiekowej na gruncie europejskim walki z prądami wstecznymi, walki podejmowanej przez wszystkich światlejszych apostołów ludzkości — trwa dotąd, kwitnie, wzrasta zatrważająco z dniem każdym. Ciekawy a zarazem smutny obraz zdziczenia natury człowieczej, zdziczenia, uwydatniającego się wśród odłogów i targowisk afrykańskich, daje nam dr. Franciszek Czerny, profesor geografii przy uniwersytecie jagiellońskim w pracy odczytanej publicznie d. 12. grudnia 1877 r. w Krakowie, a wydrukowanej w ostatnim poszycie „Niwy“. Ponieważ artykuł ten porusza kwestyą ściśle związaną zarówno z odwiecznemi pragnieniami postępowców, jak z czystą istotą pierwotnego chrystyanizmu, a przytem jest opracowany sumiennie i z widoczną znajomością rzeczy, sądzimy, że nie rozgniewają się czytelnicy nasi, gdy podamy tu treść jego główną. W smutnej historyi „handlu ludźmi“ to przedewszystkiem każdego zastanowi, że te same ludy, które przez swe odkrycia dały popęd rozwojowi podnoszącego się z objęć średniowieczyzny ducha, usiłowały zarazem w imię skostniałych przesądów o nierówności ras — spętać człowieka jak bydlę. Chwała ta należy się przed innemi Portugalczykom; oni bowiem pierwsi z pośród europejskich narodów zdradzili w epoce chrześciańskiej żądzę rabowania i sprzedaży niewolników. Za niemi poszli współplemiennicy ich Hiszpanie; potem Holendrzy, Anglicy a nawet Francuzi. „Merkantynizm i oparty na nim system kolonialny XVI i XVII-go w. czyniły instytucyą niewoli coraz niezbędniejszą.“ Przyszedł nareszcie czas wyzwolenia a raczej ulgi dla biednych murzynów, których ludzkiej natury nie chciano uszanować, nie umiano wyzyskać na korzyść ogólnego dobrobytu i cywilizacyi. Wiek ośmnasty, nie bez przyczyny „wielkim“ nazywany, przemówił głośno w obronie praw bytu, przynależnych paryasom ludzkości. W Londynie założono nawet w r. 1787, z inicyatywy Tomasza Clarcsona, „towarzystwo afrykańskie,“ którego celem było oswobodzenie negrów, a nadto organizowanie wypraw naukowych dla zbadania rozleglej ich ojczyzny. Składki pieniężne pod hasłem szlachetnem posypały się obficie tak, że r. 1792 położono w Sierra Leona u wybrzeży górnej Gwinei — kamień węgielny osady dla usamowolnionych murzynów. Tym filantropijnym ruchem, przybierającym niekiedy odcień sentymentalizmu negrofilskiego, zajęły się niebawem europejskie rządy i gabinety. Parlament angielski wydał w r. 1807 bil potępiający handel murzynami, a kongres wiedeński z 1815 r. słusznie porównał ohydny ten przemysł z rozbójnictwem morskiem. W r. 1839 obdarzono swobodą niewolników angielskich, a w 1848 francuskich. W obec tych faktów sądzićby należało, że niewola murzynów afrykańskich, owa bijąca w oczy, a potępiona przez ludy i oświecone rządy hańba — już w drugiej połowie bieżącego stulecia zgoła nie istnieje. Tymczasem tak nie jest: Afryka a w części Azya otwierają ciągle wrota przytułku dla sprawy, która dawno już przez rozum i uczucie wyklętą została. W Afryce samej trzy są główne ogniska handlu niewolnikami: środkowy Sudan, okolice górnego Nilu białego i kraje sąsiadujące z jeziorami Tanganyika i Nyassa. W Sudanie nadają kierunek wstrętnym obławom i targom sami panujący tamtejsi, wyznawcy islamu przeważnie. Chęć zysku i przesądy religijne są siłą, wprawiającą w ruch tę barbarzyńską machinę. Cena dwunożnych zwierząt ma być tak dalece niską, że za jednego dobrego konia dostać można niekiedy ośmiu do dziesięciu ludzi. Podeszłe wiekiem okazy obojej płci sprzedawane bywają za kilka „talarów Maryi Teresy;“ lepiej już popłacają młodzieńcy, a najlepiej młode dziewczęta, których pieniężna wartość dochodzi czasem do 60 talarów za sztukę. Głównem targowiskiem jest miasto Kuka, stolica państwa Bornu; zkąd żywy towar przez pustynią pędzą do Kairu, a z Kairu do wszelkich okolic Wschodu mahometańskiego. Coś podobnego dzieje się nad górnym Nilem białym, gdzie ruchowi antycywilizacyjnemu przewodniczą Arabowie i Egipcyanie — ludy, które jak wiadomo oddały kiedyś w różnych epokach znakomite usługi europejskiej kulturze. Nabywanie towaru odbywa się sposobem, praktykowanym przez gromady pierwotne, tj. drogą podstępu, rozboju i rabunku. Głównym rynkiem, na który bezecni łowcy z nad Nilu ciągną swe ofiary, jest miasto Kartum. W wyższym jeszcze stopniu — od połowy stulecia z górą — zaraza ta rozpostarła się po okolicach jezior Tanganyika i Nyassa, których wyludnienie, jeśli wierzyć mamy uczonym podróżnikom, rośnie przerażająco z dniem każdym. „Proch i strzelba, przed któremi drżą całe wsie ze strachu, są w tej części Afryki główną zarazem monetą w ręku arabskiego kupca.“ Liczni agenci spędzają tłumami ujętych niewolników najprzód do obwarowanych stacyj, później na główne targowisko, a ztąd do wszystkich okolic, gdzie tylko handel tolerancyą a towar popyt znajduje.

Z wybrzeża Zanzibaru odbywa się skryty wprawdzie, ale śmiały i regularny wywóz afrykańczyków, dochodzący do średniej cyfry 40 tysięcy głów rocznie. Takie nadużycia, odbywające się pod okiem świata ucywilizowanego, nadużycia, którym, ani pływające po morzu statki strażnicze, ani zawierane traktaty nie mogą przeszkodzić, przyprowadzają do rozpaczy tych, którym drogą jest uprawa wszystkich bez wyjątku rodzin i pierwiastków ludzkości. W r. 1876 na europejskiej konferencyi geografów w Brukselii sam król belgijski Leopold II, otwierając d. 12 września pierwsze posiedzenie tego pamiętnego zjazdu podniósł projekt obmyślenia środków, króreby najskuteczniej (nie orężem, lecz drogą czysto pokojową) zaszczepiły na afrykańskim gruncie płonkę zdrowej, a zbawczej cywilizacyi. Pomysł przyjęto grzmiącemi oklaski, a zawiązujące się tu i ówdzie filie międzynarodowego stowarzyszenia rokują w bliskiej przyszłości gruntowne, bo moralne oswobodzenie upośledzonych afrykańczyków. Oby tylko środki użyte nie minęły się z arcywzniosłym i ważnym dla całej ludzkości celem, aby ich nie przeniknął zabarwiony na nowo egoizm i anachronistyczna gorączka propagandy zasad średniowiecznych.

PULARDA.

Nowella.

Pan Lemandru, stary kawaler, nie prowadzący własnego domu, otrzymawszy w podarunku przepyszną pulardę, nadziewaną truflami, odesłał ją państwu Dubourg, z któremi żył w przyjaźni od lat trzydziestu i u których zwykle we czwartek bywał na obiedzie.

Uradowani wielce tym darem państwo Dubourg, umieścili apetyczną pulardę na kominku w salonie, i co chwila podchodzili oboje z rozpłomienionem okiem i ślinką w ustach, aby napawać się wydobywającym się z niej zapachem trufli.

Nadszedł nareszcie upragniony czwartek.

Z wielką ceremonią zajęto się przyrządzeniem głównej owej potrawy, mającej być ozdobą obiadu i punkt o godzinie czwartej gotowa już pularda, zdjętą została z ognia.

W chwili przecież gdy pani Dubourg miała ją już rozbierać, przyniesiono z poczty miejskiej następujący bilecik:

„Kochani państwo!

Ważna nadzwyczaj sprawa pozbawia mnie dzisiaj

przyjemności obiadowania z Wami. Jeżeli pozwolicie, zajdę jutro do Was na śniadanie; zostawcie mi jedno skrzydełko z poulardy.

Stary Wasz przyjaciel
Lemandru."

Przeczytawszy powyższe słowa, oboje małżonkowie zawołali jednozgodnie z głębi szczerego serca:

— Zachowamy dla niego całą pulardę!

— Przyjaciel od lat trzydziestu! — dodała pani Dubourg.

— Któremu zawdzięczamy cały nasz majątek! — przywtórzył małżonek.

— O tak! zaczekamy na niego!

Niemiły jednak ten zawód, odebrał im zupełnie apetyt; zjedli cały obiad, jak to mówią, półgębkiem. Wieczorem, po odbyciu ostatniej pobożnej pielgrzymki do pulardy, umieszczonej na kredensie w stołowym pokoju, prawie na głodno położyli się spać. Była już może północ, gdy pan Dubourg, który dotąd ani oka jeszcze nie zmrużył, zauważył przy świetle nocnej lampki że i żona nie śpi, przemówił z westchnieniem:

— Myślałem właśnie o....

— I ja także.

— Ciągle mi się zdaje, że ją widzę przed sobą.

— Nic w tem dziwnego, bo zapach trufli aż tu się przeciska.

— Czy tylko dobrze drzwi pozamykałaś? Bo gdyby się przypadkiem kot zakradł...

— O nieba! przerażasz mnie! biegnij przekonać się!

Panu Dubourg nie potrzeba było dwa razy podobnego zlecenia powtarzać; zerwał się z łóżka jak oparzony i za chwilę powrócił z pulardą.

— Więcej strachu jak czego — rzekł stawiając drogocenny półmisek na stoliku przy łóżku — aż mnie dreszcze przeszły na samą myśl!...

— Jaką ona ma apetyczną minę! — zauważyła pani Dubourg.

— Tem apetyczniejszą, że oboje umieramy z głodu.

— I to dobrowolnie! bo przecież Lemandru pozwolił nam zjeść ją całą.

— Z wyjątkiem jednego skrzydełka... Prawda, że to najlepszy kawałek!

— O! stary ma dobry gust!

— Powiedz lepiej, że jest żarłok.

— I to być może; w każdym razie poprzestaje na jednem skrzydełku, chociaż cała pularda jest jego własnością.

— To jednak wcale nie przeszkadza, żebyśmy nie mogli zjeść po małym kawałeczku.

— Oboje?

— Rozumie się. Ale trzeba będzie mu powiedzieć, że twoja matka przejeżdżając przez Paryż z Amiens do Nicei, wstąpiła do nas niespodzianie na obiad.

— A to po co? boisz się starego Lemandra, czy co?

— Ja miałbym się go bać! — zawołał czcigodny małżonek, zajadając smaczny kąsek — bodajbym się udławił tym kawałeczkiem! Cóż to, czy to ja go nieznam od lat trzydziestu? Poczciwy człowiek, to prawda; ale żeby miał być strasznym, tego nie powiem.

— I ja tak myślę — potwierdziła żona — za bardzo wiele lubi mówić o swojej odwadze.

— Blagier!

— Wiesz mężu, co byśmy mogli zrobić?

— Naprzykład?

— Ja myślę, że jedno skrzydełko możemy śmiało zjeść. Powiem mu, że razem z matką przyjechał i mój brat.

— Zgoda; tylko jedno skrzydełko na nas dwoje to będzie za mało; napocznijmy trochę od piersi; twój brat musiał przecież i żonę swoją zabrać.

— Masz słuszność! ale trufli nie tkniemy.

— Broń Boże! trzeba je zostawić dla naszego poczciwego przyjaciela.

Tu nastała długa chwila głębokiego milczenia, przerywanego tylko starannem obgryzaniem smakowitych kosteczek.

— Jakiego wina podamy jutro staremu do pulardy? Ja bym myślała, że należałoby go poczęstować szambertynem...

— Tego by jeszcze brakowało! — zaprotestował z oburzeniem pan Dubourg. — Mamy go już tylko zaledwie sześć butelek. Trzeba je chować dla gości. Za drogo by nas kosztowała ta darowana pularda!

— Zdaje mi się jednak, że Lemandru zasługuje na...

— Jeszcze też co! — przerwał mąż — gdyby przyszło robić ceremonie ze starymi przyjaciółmi, to wolałbym się wyrzec przyjaciół.

— Zawsze kieliszek dobrego wina — upierała się przy swojem zdaniu pani Dubourg — sprawia tym przyjaciołom pewną przyjemność.

— Myślisz może, że Lemadru wiele dba o nasze wino! Ale, prawda, z powodu nadwątlonego zdrowia, wolno mu tylko pić wino z wodą.

— Czy to być może? Tak doskonale wygląda.

— Udaje tylko, przez próżność. Oho! nie można bezkarnie wnosić niepokój w stadła małżeńskie, żeby potem nie odpokutować za to! inaczej nie byłoby sprawiedliwości w niebie.

— Nie wiem czy on zakłócał jakie małżeństwa, ale to mogę poświadczyć, że do mnie ani jednego słówka dwuznacznego nie powiedział.

— Ba! bo mnie się obawiał! A z panią Rocamire, może powiesz, że również był ostrożnym!

— To zupełnie co innego; pani Rocamire jest wdową.

— Wdową! i dlatego zapewne ośmielił się jawnie ofiarować jej broszkę za 5.000 franków.

— Za pięć tysięcy dla tej lalki malowanej!.. A mnie na imieniny, mnie żonie przyjaciela...

— Przyjaciela od lat trzydziestu!

— Zdobył się zaledwie na pierścionek za dwadzieścia luidorów!

— Cóż chcesz! z przyjaciółmi nie robi się ceremonii! Co innego z *twoją* Rocamire...

— Proszę cię, nie nazywaj ją *moją!..* oburzyła się zacna pani Dubourg.

— A więc ze *swoją* Rocamire!

— Oh! ze *swoją*, ze *swoją!* i to pewnie nie z nią jedną!

— Krótko mówiąc, z panią Rocamire, może się pokazać światu i głosić na wszystkie strony: „Dałem jej prezent za pięć tysięcy franków!" To ładnie brzmi.

— Kiedy uczciwa kobieta, powie mu tylko „dziękuję" i na tem koniec...

— Wiesz co duszko, może byśmy jeszcze po kawałku piersi zjedli?

— *Tamta* może mu nawet nie podziękowała wcale!

— Powiadam ci, że to egoista w najwyższym stopniu. Jemu idzie tylko o to, żeby mógł się przed światem pochwalić. Ręczę ci, że już cała ulica wie, że dał nam tę pulardę....

— Która go nic nie kosztowała!...

— Egoista, powtarzam ci, egoista w najwyższym stopniu! znam go nie od wczoraj.

— Wyświadczył ci jednak wielką przysługę...

— Ah! te 50.000 franków, które nam pożyczył! ale uczynił to tylko dla tego, aby mieć prawo do wtrącania się w moje interesa; wiesz jaki jest ciekawy i wścibski.

— Wyszukał nam także dobrego kupca na fabrykę.

— Wyszukał, a wiesz dlaczego? jedynie przez zazdrość! Obawiał się, że jeżeli dłużej pozostaniemy w interesie, to możemy być bogatszymi od niego, a jemu na tem właśnie zależy, żeby mógł drugim imponować swoim majątkiem. Jaki mi pan! Wielka mi sztuka dać komuś pulardę, a jednocześnie myśleć sobie: „Zjem za to cały obiad, napiję się wina, a wszystko za cudze pieniądze." Takim kosztem to i ja bym potrafił bawić się w szlachetność i z pewnością bym się nie zrujnował! Wiesz, że ten twój Lemandru, to taki sknera, że nie dałby pięciu centymów biedakowi na omnibus!

— A jednak te 50.000 franków?

— To tylko dla dogodzenia swojej namiętności. Pewny jestem, że umyślnie chciał sobie z nas zażartować pisząc ten bilecik; myślał, że czekając na niego, będziemy cały dzień skakać przed kredensem.

— Czy on sobie wyobraża, że wszyscy są tacy głupi jak on?

— Już to prawda, że prochu nie wymyślił. Człowiek do niczego.

— Zdaje mi się, że pływa doskonale.

— Ah! rozumiem cię! Zdaje ci się, że ja mu zawdzięczam ocalenie życia, dlatego, iż wydobył mnie z wody. Nie wielka zasługa; tak samo byłby uratował i swojego służącego, bo w owej epoce zamierzał się żenić, i chciał zjednać sobie pannę medalem „za ratowanie ginących."

— A ja do dziś byłem przekonaną, że on ci uratował życie.

— Choćby tak było, to już mu się z procentem wywdzięczyłem za to; gdy raz zwiedzając moją fabrykę, zbliżył się zanadto do maszyny, krzyknąłem na niego żeby się cofnął, jeżeli chce uniknąć jakiego wypadku.

— Tak, ale on narażał się dla ciebie.

— A ja to się nie narażałam? czy gdyby go maszyna była zgniotła, to ja nie dostałbym się pod sąd za brak dozoru?

— O tem nie pomyślałam.

— A widzisz. Daj mi jeszcze trochę nadziewania.

— Już nic nie ma!

— Jakto nie ma?

— Z całej pulardy zostało się tylko skrzydełko dla Lemandru!

— A! to rzecz nietykana!

— Święty depozyt!

— To też gdyby jutro Lemandru nie przyszedł, złożymy to skrzydełko w Banku francuskim! Niech się przekona z jakimi sumiennymi ludźmi ma do czynienia! A jeżeli był to tylko z jego strony podstęp, żeby nas skusić....

— Jeśli miał to być podstęp — przerwała z ironią pani Dubourg — to nie był bardzo dowcipny, bo gdybyśmy chcieli zjeść to skrzydełko....

— Pelagio! nie mów tego! — zawołał mąż surowo.

— Robię tylko przypuszczenie...

— Jeszcze raz cię proszę: nie przypuszczaj nawet!

— Chciałam tylko powiedzieć, że kto inny na naszem miejscu, znalazłby tysiąc słusznych wymówek.

— Tysiąc wymówek i do tego słusznych! — powtórzył machinalnie i z pewnem niedowierzaniem pan Dubourg. — Nie! to rzecz niemożliwa!

— Nie tak bardzo niemożliwa, jak się z pozoru wydaje. Możemy naprzykład powiedzieć kochanemu Lemandru, żeśmy jego listu nie odebrali....

— Pelagio!

— Ależ to tylko przypuszczenie, powtarzam ci! — dodała pani pospiesznie.

Przez chwilę zapanowała złowroga cisza w sypialni. Wyraźnie tylko słychać było, jakby odgłos dwóch zegarów ściennych, przyspieszone bicie serc dwojga małżonków.

Nareszcie pan mąż przemówił cichym półszeptem:

— Pelasiu! a gdybyśmy pociągnęli węzełki, kto z nas pierwszy ma zacząć to skrzydełko?......

Eugeniusz Chavette.

Od Redakcyi.

Wł. Kaz. Bartoszewicz w Krakowie. Sprawy Pańskiej o koncesyę nie traktowaliśmy jako sprawy prywatnej lecz jako sprawę publiczną. Nie łączyliśmy jej wcale ze sprawą p. Wołowskiego, gdyż obie te sprawy nic wspólnego z sobą nie mają. Jeżeli Pan znajduje niedokładność w naszem podaniu, prosimy o sprostowanie a będzie nam bardzo przyjemnie sprostować jeżeli byliśmy w błędzie, nawet zaprzeczyć faktowi. Zasłaniać nadużyć w urzędowaniu p. Zyblikiewicza nie mamy powodu.

Treść Nr. 49.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.)

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.